№ 40. Warszawa, dnia 5 Października (23 Września) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

„TUTTI BUFFONI."

Chwilowo wyczerpały się w polityce pomysły do czynów, więc kręci się to jedyne *perpetuum mobile* siłą słów. Rozpoczęły walkę tą bronią Niemcy. Od lat kilku Bismark ciągle otwiera skrytki archiwum dyplomatycznego i wydobywa z niego rozmaite papiery, którymi obdarza to *Nordd. Allg. Zeitung*, to *Kölnische Zeitung*, to jakąś prowincyonalną gazetkę, szczęśliwą z takiego daru i budzącą nim w świecie jak największą wrzawę. Opozycya, o ile może, również występuje z dokumentami. Ponieważ zaś jest to bardzo dobry kupiecko-księgarski *Geschäft*, więc jak grzyby wyrastają bezimienni a udający wtajemniczonych autorowie przeróżnych broszur, które często są tylko pośpiesznie zszytymi wykrawkami gazet a kłamią na kartach tytułowych wysokie swe pochodzenie. Niemców w tych „odkryciach" i ogłaszaniu sekretów naśladują inne narody: belgowie, francuzi, włosi itd. Niedawno rozbiegła się pogloska, że Watykan również przygotowywa do druku zbiór dokumentów, oświetlających sprawę zajęcia Rzymu, a mających dowieść — jak świeżo wydana broszura Cuchiego—że Bismark w starciu Włoch z papieżem stał po stronie Włoch. O tem, zdaje się, nikt dziś nie wątpi i temu się nikt nie dziwi. Publikacya wszakże watykańska, na pozór dowodząca tego, o czem wszyscy wiedzą, osiągnęłaby pewien cel, dla kanclerza niepożądany, mianowicie zwróciłaby przeciw niemu katolików niemieckich i pośrednio zachęciłaby ich do oporu. To też naprzód puszczono pogloskę a następnie z Watykanu zaprzeczono jej (w *Polit. Korespondenz*), twierdząc, że gdyby nawet Kurya posiadała dokumenty, przekonywające o wrogiem usposobieniu rządu pruskiego względem papieża podczas jego walki z królem włoskim, nie ogłosiłaby ich ze względu na obecny pokojowy stosunek z Niemcami. To znaczy: mamy w ręku karty, które przeciw Bismarkowi wygrać możemy, ale tymczasem trzymamy je zakryte i dopiero gdyby zaszła potrzeba... Uprzedzając moralne i polityczne skutki takiej potrzeby, gazety niemieckie wykazują, że wobec zamiaru W. Emanuela (w r. 1870) pośpieszenia na pomoc Francyi byłoby szaleństwem nie poświęcić „strzępów" państwa kościelnego i nie zobojętnić tym sposobem groźnego przeciwnika. Że zaś państwo to było już „strzępami," że się znajdowało w chwili rozkładu, świadczy niedawno wydana korespondencya — między Thouvenelem, ówczesnym francuskim ministrem spraw zewnętrznych, a ks. Gramontem posłem w Rzymie. Gramont był nietylko prawomyślnym katolikiem, ale nawet zwolennikiem władzy świeckiej papieża. „Wierzę — pisze on — że zasada panowania świeckiego jest dla katolicyzmu potrzebną, że stanowi jego część, wierzę również, że ta zasada jest potrzebną dla Francyi..." I mimo to ów gorący katolik i papista takie wydaje sądy: Pius IX jest—według niego—„punktem środkowym wszelkiego uporu i ślepoty." W sprawach ziemskich „najnieopatrzniejszy z władców" od r. 1860 widocznie starzeje się i tępieje. „Ruchliwość jego umysłu — pisze Gramont — jest bezmierną, jego gadatliwość — dokuczliwą a niedyskrecya — bezgraniczną. Na szczęście Ojciec św. ma w tym punkcie oddawna taką sławę, że sam dyskredytuje wiadomości, które rozsierza." A pałac wart Paca. „Nigdy — mówi Gramont — nie widziałem tak wydatnych znaków rozkładu, jak tu obecnie." Dwór, który ma przedstawiać na ziemi władzę królestwa niebieskiego, roi się ludźmi, intrygującymi przeciw wszelkiej władzy, a nawet przeciw Opatrzności. „Przypomnij pan sobie Konstantynopol — pisze do ministra. Wszystko to budzi litość a nieraz pewną odrazę, którą pan zapewne uczuwałeś nad brzegami Bosforu. Tu w Rzymie niema narodu; ludność stanowi gromadę obroczników, którzy utrzymują się hierarchicznie z pewnego komunizmu nadużyć, z administracyjnych kradzieży, z klerykalnych zapomóg, pensyj, jałmużn, żebractwa, lichwy i handlu rzeczami świętemi. Wszystko tu mniej lub więcej wymaga osłony, po za którą kryje swą hańbę, i rządu *sui generis*, który mu daje racyę bytu." Politycznym systemem tego rządu jest: oczekiwać korzyści od nadmiaru zła. „Przyszedł do mnie—pisze znowu w r. 1862 Thouvenel — msgr. Chigi (nuncyusz papieski w Paryżu) i oświadczył, że życzy powodzenia Garibaldemu, gdyż *tryumf rewolucyi* we Włoszech wydaje mu się *najlepszym środkiem* przywrócenia porządku zapomocą *bagnetów* austryackich i francuskich."

Taką była głowa, takiem ciało i organy państwa papieskiego. Gdy Pius IX znajdował się w dobrym humorze a opowiadano mu rozmaite sztuczki jego dyplomacyi, mawiał: „buffoni, buffoni, tutti buffoni."

Cokolwiek przynosi każda nowa publikacya papierów sekretnych, zawsze rzuca cień na któregoś z dostojników politycznych; ponieważ zaś te publikacye a z niemi cienie się mnożą, więc najlepiej by wyszli strażnicy archiwów, gdyby wzajemnie przestali się tymi środkami szachować; bo ostatecznie wszyscy wystąpią jako „buffoni." Naturalnie czytający ogół nie potrzebuje sobie tej ich wstrzemięźliwości życzyć, owszem, niech się do dna dusz wygadają, a choć pogasną nimbusy, natomiast zajaśnieje prawda, o którą mu głównie chodzi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rzeczpospolita francuska jest zadowoloną z rezultatu wyborów do Izby, gdyż uważa się za zwycięzkę. Zadowolenie to wobec stu kilkudziesięciu posłów jej wrogich przekonywa, jak dalece republikanie obawiali się porażki ze strony sprzymierzonych zbulanżyzmem królewszczyków. Opłakują tylko stratę kilku przywódców, zwłaszcza Ferrego i Gobleta. Pierwszemu z nich przyjaciele chcieli ustąpić miejsca przy wyborach ściślejszych, ale zrzekł się i rozmyśla, czy ma przyjąć ofiarowaną mu przez rząd posadę w... Indochinach.

Za zbawiciela Francyi, tj. za siłę zdolną uporządkować jej chaos parlamentarny, uchodzi teraz Leon Say. Niewątpliwie, może on oddać krajowi, jak już oddał, wiele usług rozumnemi radami w sprawach finansowych, ażeby jednak owładnął nawet żywiołami, składającymi większość w Izbie, nie wydaje nam się prawdopodobnem.

Wybory do skupczyny serbskiej odbyły się cicho i bez zwracania na siebie uwagi świata. Przyczyną tej obojętności był wiadomy z góry ich rezultat — zwycięztwo radykałów, którzy też wyszli z urn w przeważnej liczbie. Postępowcy Garaszanina prawie zniknęli, a liberalni Risticza pozostali w małej grupce. Nie znaczy to wszakże, ażeby stanowisko pierwszego regenta było zachwianem. Radykalni nie myślą burzyć obecnego porządku rzeczy, bo on im daje władzę, a nie wiadomo, co by im dał przewrót.

Nareszcie b. królowa Natalia przyjechała do Belgradu, niepowitana urzędownie a nawet niedopuszczona odrazu do syna. Rzeczywiście dziwne wytworzyło się położenie: z jednej strony matka i jej dziecko, który dla niej jest tylko małym Olesiem, z drugiej „osoba prywatna“ i „król Aleksander,“ który musi trzymać się wobec niej zdaleka. Przebywający w Karlsbadzie Milan dopilnowywał warunków umowy z regencyą i groził powrotem w razie, gdyby jego żonie oddawano honory i przywrócono wpływ na syna. Zdaje się, że waśń małżeńska usnuła przytem dalej swe pasmo: słychać bowiem, że Natalia, powołując się na swe prawa obywatelskie, chce stale pozostać w Serbii, czyli rzucić swojemu byłemu małżonkowi rękawicę do ponownej walki.

Socyaliści szwajcarscy przegrali sprawę przed narodem, gdyż na podaniu, oświadczającem się przeciw ustanowieniu posady generalnego prokuratora, dozorcy nad cudzoziemcami, zgromadzili zaledwie 22,100 podpisów—ilość niewystarczającą dla sprowadzenia tej kwestyi pod obrady. Dwa tylko są możliwe przypuszczenia: albo twórcy projektu mają nieliczny zastęp swej chorągwi, albo nielicznych zwolenników swej myśli. Jedno i drugie nie jest dla nich odkryciem przyjaznem.

Ale zarazem, cokolwiek rząd szwajcarski powie o „dobrowolności“ w pomyśle wzmocnienia kontroli policyjnej nad cudzoziemcami, tylko siebie okłamać może, że nie uległ Bismarkowi.

W Niemczech znowu rozpoczęło się podkopywanie kredytu pieniężnego Rosyi, znowu latają pogłoski o groźnych ruchach jej wojsk, ale nawet prasa niemiecka tak zna się na tych figlach, że odrazu je odcyfrowała. Ile razy gadzinowcy rzucą popłoch wojenny, niemcom skóra cierpnie, nie ze strachu przed Rosyą lub Francyą, ale przed nowymi podatkami na armię. I teraz już rozumieją, co ich czeka i jaką nowinę usłyszy sejm państwa. Jednakże uroczyście ich zapewniano przy ostatniej na ten cel ofierze, że ona jest „ostatnią.“

Zabalsamowane ciało nagle zmarłego w Paryżu Zacharyasza Stojanowa sprowadzono do Sofii. Nad grobem nieboszczyka powstał spór stronnictw, który tam ciągle tleje. Jedni wymyślali na jego austrofilstwo, drudzy przypominali zasługi, kiedy to w r. 1870 chodził od wioski do wioski i budził w rodakach patryotyzm i nienawiść do jarzma tureckiego. Stojanow napisał historyę powstań bułgarskich, książkę, która po za wycieczkami polemicznemi zawiera wiele ciekawego materyału i trafnych sądów. Na niwie beletrystycznej wawrzynów nie zdobył.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIEK OBŁUDY.

III.

Obłuda ciała ze swym nieprzejrzanym zasobem kosmetyków nie jest jeszcze najgorszą. Od niepamiętnych czasów usiłowała płeć żeńska zakryć braki odziedziczone od matki natury, albo pochodzące z nieszczęśliwych wypadków życia, albo wreszcie zadane nielitościwym zębem czasu; ale fizyczne te kłamstwa, popełniane zazwyczaj z próżności, nie należą do rzędu najniebezpieczniejszych trucizn. O wiele szkodliwsze są kłamstwa, których uczą nasze córki—krawczynie, modniarki, a nawet własne matki, wygłaszające im kazania o zbrodni zmysłowej, pokrywanej pokostem fałszywej wstydliwości i skromności. Wychowujemy dziewczęta tak, ażeby się rumieniły na widok młodzieńców i spuszczały oczy pod ich spojrzeniem, a równocześnie sprawiamy im gorsety uwydatniające więcej niż potrzeba wypukłości dziewiczej talii i prowadzimy je na bal dekoltowane. I w takim przeciwieństwie między fałszywą pruderyą a wyzywającą śmiałością ma wyrość lilia niewinności? Czyż nie kierujemy jej sami na lalkę lub kokietkę?

Widzę między tem, czem jesteśmy, a tem, czem być chcemy, tak gwałtowną sprzeczność, że nie da się ona upiększyć tą ciężką powłoką szczerych chęci i dążeń do lepszego. Nazwano nawet z powodu tego obłudę rodzajem hołdu złożonego na ołtarzu cnoty. Być może, że hołdy te są lepszą cząstką człowieka, lecz jeżeli hołdowanie i uwielbianie bóstwa ideału jest bezowocnem i platonicznem, to czyby może nie było lepiej, moralniej i mądrzej trochę zniżyć piedestał tego bóstwa, tak, ażebyśmy je mogli dostać, gdy staniemy na palcach i podniesiemy ramiona. Zamiast dążyć do anielstwa i bohaterstwa, pozostańmy poczciwymi ludźmi w wykonywaniu najprostszych obowiązków ojca, męża, lekarza lub inżeniera. Nazywają niesłusznie Gaskonię krajem największej blagi; cały nasz świat cywilizowany jest rajem wszelkiego rodzaju blagierów, żelazo-żerców i Don-Kiszotów. Włoski kodeks karny wykreślił nie bez słuszności karę za krzywoprzysięstwo — w przeciwnym bowiem razie należałoby — logicznie postępując — nałożyć karę na cały kłamliwy ogół. Ileż to razy podnosiliśmy palce prawej ręki do nieba, przysięgając wierność kochance lub stałość zasadom, ale powoli zapadała gwiazda, której śmy przysięgali w cieniu zmierzchu, aż wreszcie zgasła w najgłębszych ciemnościach przeszłości, która nigdy nie wróci. I weszły nowe słońca, którym składamy nowe roty przysięgi — ale czy ich dotrzymamy? Przysięgi i krzywoprzysięstwa następują po so-

3)

JESIEŃ.

IV.

Lubię ranki późnej jesieni, kiedy słońce długo mgły pokonać nie może i rosy osuszyć. Po leśnych polanach unoszą się z ziemi leciutkie, jak oddech, resztki rozwiewne oparów, które w górę ulatują i w potokach światła wesołego roztapiają się powoli. Między drzewami mgła ujmuje promienie słoneczne w snopy i smugi. Wszystko — pod sklepieniami gołych gałęzi— mokre, i w ciszy, bezmiernym spokoju i nieruchomości lasu słychać tylko, jak krople wody ze szczytów drzew kąpiących się w słońcu, spadają na ziemię. Mokry opad liści i igliwia wydaje ciężki, duszący zapach. Na smutnych, suchych łodyżkach, liściach zwiędłych, gałązkach obnażonych — słońce rozpala srebrne połyski, świateł roje i iskier, migocących w rozlanych kroplach wody.

...Koło południa poczęło być prawie gorąco! Stare, wielkie, obumarłe muchy, które w kątkach okiennych framug zebrały się w gromadki, dla wspólnej śmierci — odżyły w tem cieple niespodzianem i frunęły na ganek, gdzie najwięcej było światła i ciepła. Z brzękiem ociężałych skrzydeł, przelatywały ze słupa na słup, nadstawiając grzbiety promieniom słońca, których pieszczota przypominała im coś z letnich, niepowrotnych wrażeń ich młodości.

Na drodze do lasu przyłączył się do mnie Maksymko i biegnąc szeleścił bosemi, czarnemi stopkami w kupach suchego liścia; był bez czapki, i słońce złociło jego jasne, nastroszone włosy, jak ostatnie liście brzóz. W lesie dziwna mięszanina drzew nagich i takich, które, zdaje się, iż nie straciły jednego liścia, obok osiki, podnoszącej w górę obnażone zupełnie gałęzie, brzoza stała— od dołu do góry, cała obsypana złocistym puchem, a przy nich dąb z liśćmi suchymi i ciernialymi.

Szedłem tak lekko i cicho, iż zdawało mi się, że zaledwie trącam nogą wilgotne liście i mchy; czułem jak ogarnia mnie powoli wrażenie miłe i znajome dobrze, jakie sprowadzają piękne dni jesieni. Wyszliśmy na skraj lasu i poszli wzdłuż ściany jego, wyłamanej kapryśnie, przykryci jej cieniem, wielkimi śladami znacząc przejście nasze na trawie przytłoczonej do ziemi ciężarem srebrnej rosy; tak idąc, przecinaliśmy łączki mokre, wrzynające się w las, podobne do małych, okrągłych, zacisznych zatok lub omijaliśmy występy lasu, zaokrąglone przylądki, oblane dokoła ścielącem się, równo morzem zaroszonych traw. Przed nami, wesołe piosnki świszcząc, ulatywało stado drozdów.

Mały, piaszczysty wzgórek pod lasem zżółkły pod nakryciem zeschłych mchów i nagrzany w słońcu — przywabił nas. Maksymko na ziemi się rozciągnął, na wznak, twarzą do słońca zwrócony, usiłował przymrużonemi oczami w jego wspaniałe oblicze patrzeć; ja—na pniu obalonym siadłem. Obydwaj piliśmy chciwie czar ciepła. Jest coś w tych spóźnionych echach lata, co tkliwość taką budzi, jak wspomnienie pieszczoty kobiecej lub uśmiech na starej, przyjacielskiej twarzy. Ciepło — zdaje się coraz to powiększać, przenika wewnątrz, rozlewa się po członkach, upaja lekko, jak wino, dając poczucie zupełnego dobrobytu. Czy nie doświadcza tego samego ta równina, zamknięta w pierścieniu lasów i grzejąca na słońcu swój wielki i stary grzbiet z łąkami, ścierniami i stogami siana? Czy zbudzone ze snu muchy, i rozweselone drozdy, i równina, już do snu zimowego ułożona, i to dziecko chłopskie, spojone jasnością słoneczną i usypiać się zdające, tu obok mnie, i ja sam, gdy oczy przymykam— czy nie marzymy wszyscy, przez jedną krótką chwilę, iż jest lato jeszcze, dobroczynne, wesołe, śmiejące się? Ja się pierwszy z marzenia tego ocknąłem, dokoła się rozglądając: nie lato mgłą owiało ścianę lasu i nie ono po szczytach jej złote smugi rozsypało, podobne do odblasku p[illegible]ru lub

bie jak w odwiecznej kolei dzień następuje po nocy. Przyzwyczailiśmy się do tego, nie obawiając się nawet od ciągłego kołysania okrętu nabawić się słabości morskiej. Ludy cywilizowanej Europy rządzą się trzema rozmaitemi ustawami, które zostają między sobą w sprzeczności. *Przepisy religii* nakazują ci, żebyś dostawszy jeden policzek, nadstawił drugi. *Kodeks obowiązujący* nakazuje ci, jeżeli dostaniesz w twarz, wnieś skargę o obrazę czci lub czynne znieważenie. Według *opinii publicznej*, nie mającej ustawy pisanej ani sankcyonowanej, ale silniejszej od obu wymienionych, masz w takim wypadku posłać swoich sekundantów. Bywają ciężkie chwile w życiu—nie śmiejcie się obłudnie — kiedy wybór postępowania według jednego z tych trzech kodeksów jest bardzo trudny... Jakże tu dziwić się chaosowi między ludźmi, rządzącymi się każdy innym kodeksem? Epidemia stawiania pomników po śmierci tym, których błędy za życia powiększyliśmy mikroskopem, należy do obłudy serca stulecia naszego. Jesteś tylko wielki pod warunkiem, że dajesz najniższemu pariasowi myśli prawo, żeby cię sądził publicznie, żeby ci każdy fałd ducha twego rozwinął i zmierzył centymetrem. Ale jeżeli zazdrość miernoty pomszczoną została złożeniem rywala do grobu, to niema słów uwielbienia dla niego. Oczy jego zagasły na zawsze, a blask ich nikogo już razić nie może. Pięść jego otwarta nie może już spaść na winnych, aby ich rozmiażdżyć. Głos jego zamarły nie przestraszy już puszczyków, ani nietoperzy. On umarł — a więc wielkość jego jest dziedzictwem wszystkich, i wszyscy są spadkobiercami jego chwały. Obok obłudy uczucia istnieje kokieterya myśli, jak istnieje kokieterya w stroju. Przez kokietowanie zaś rozumiemy uchodzenie przy pomocy sztuki i sztuczek za coś, czem w istocie nie jesteśmy. W teoryi wszystko, co nie jest prawdą — jest kłamstwem; nie tak w praktyce codziennego życia, gdzie rozróżniamy pół-prawdy i pół-kłamstwa, a oprócz rozmaitych stopniowań między tymi hermafrodytami spotykamy tego rodzaju kombinacye, jak: prawdy, przykryte warstwą kłamstwa, a szczególnie kłamstwa w ściśle stylowym kostyumie prawdy.

Obłuda może się poszczycić nietylko przedstawicielami osobników, ma ona przedstawicieli całych zawodów. Weźmy np. obrońców karnych. Dowieść, że zbrodniarz jest niewinny — to ideał humanitarnego obrońcy. W sprawach cywilnych mają obie strony swoich adwokatów, prześcigających się w wyszukiwaniu sofizmatów, kruczków i kłauzul, a po takiej długoletniej, obłudnej praktyce ma publiczność żywić zaufanie do tego stanu. W naszem zaś dzisiejszem społeczeństwie są adwokaci głównymi motorami naszego życia, gdyż mają w jednem ręku klucze od więzień i cytadeli, gdy idzie o sprawy karne, w drugiem zaś klucze od naszych majątków, gdy chodzi o sprawy cywilne. Nie dość na tem, ciągła gimnastyka językowa i nabyty przez prowadzenie przeróżnych interesów spryt, czynią ich w wysokim stopniu uzdolnionymi do przepływania po wielkiem morzu polityki między Scyllą parlamentaryzmu a Charybdą biurokracyi. W labiryncie praw i rozporządzeń, zwalczających się wzajemnie, w zawikłanym procesie cywilizacyi nowoczesnej, w której każdy rości sobie prawo do głosu rozstrzygającego, wśród ruin przeszłości, tamujących drogę i kiełkujących dopiero źdźbełek przyszłości, dopominających się o miejsce przy słońcu, w takim zamęcie stąpać może jedynie adwokat „pewnym krokiem,“ a prowadzić nieświadomych i niedoświadczonych po manowcach życia. My możemy się tylko naigrawać z nich — słowami.

A teraz przejdźmy do dziedziny nauki. Wiedza jest potęgą, wiedza jest bogactwem, wiedza jest szczęściem — tak nas uczą: szkoły, książki i gazety. Ale podczas gdy wiedza w swej nieprzerwanej działalności dokonywa nieustannie cudów rozmnażania chleba i ryb, a z jednego koryta umiejętności stwarza tysiączne strumienie i potoki, kanały i przypływy, musi wykształcony człowiek XIX stulecia poznać przynajmniej kartę geograficzną tego cudownego systemu wód i nauczyć się na pamięć tytułów książek z imionami autorów, uszczęśliwiających ludzkość. Gdy taki Ulisses lub Agamemnon zjadali przy stole całe woły, to stały ich żołądki na wysokości tych cyklopowych uczt; lecz my poronieni potomkowie wielkiej rewolucyi, mamy wskutek długoletniego głodu myśli jeszcze niedokrewne mózgi, niezdolne przetrawić wszystkiego, co nagromadziła nowoczesna gorączka wiedzy. Całe nasze wychowanie, cały kierunek naszej inteligencyi przychyla się wskutek tego na stronę myśli, najeżonej bagnetami imion, cyfr, terminów, pojęć itd., a zapominamy prawie zupełnie o uczuciu, tym istotnie głównym czynniku naszego szczęścia, naszej moralności i prawdziwego postępu. Cóż wynika z takiego systemu wychowawczego? Oto mamy kłamców nauczycieli, zmuszonych uczyć rzeczy, których sami dobrze nie umieją, albo wprost przenosić każą z książki do zeszytu. Mamy kłamców uczni, udających, że umieją to, czego umieć nie mogą, którzy zapomocą nożyc i kleju przykrawają sobie arlekinowy strój z tysięcy nieczytanych książek, kłamstwem są egzamina, wymierzające tylko wytrzymałość pamięci i zwodniczość czczych wykrętów; kłamstwem są świadectwa, patentujące kwadratowych osłów na magistrów i doktorów — wszystko to nieodrodne dzieci wieku obłudy.

Oprócz fizycznej, moralnej i umysłowej, jest jeszcze społeczna obłuda. Ta ostatnia dzieli się na mnóstwo poszczególnych grup, jak: obłuda patologiczna i naturalna, polityczna i religijna, obłuda dobrego i złego, bogactwa i ubóstwa itp. Ale na co tracić dużo słów. Nasze społeczeństwo cuchnie już od starości. Woń zgnilizny dostaje się pomimo różnych środków dezinfekcyjnych i pomimo tych odrażających eterów, którymi starają się powstrzymać rozkład tego, co niema już warunków do życia — aż do „organów“ powonienia samych mandarynów. Ogłosili wolność dla ciemnych i głodnych, sprawiedliwość dla niemających czasu ani pieniędzy dostąpić jej, braterstwo dla rabujących się nawzajem. No co nam takie podarunki? Całe społeczeństwo spoczywa na fundamentach nieskończonych kłamstw, w które już nikt nie wierzy, a ściany starego budynku mocno się już zarysowały. Przestańmy podpierać go obłudnie i zejdźmy do jego podziemnych sklepień, aby zmierzyć wytrzymałość starych murów, uderzmy śmiało młotem odradzającej się ludzkości, a gmach obłudy rozpadnie się w proch... *).

H. Biegeleisen.

PO ZJEŹDZIE LWOWSKIM.

I.

Czterysta blisko osób uczestniczyło w tym wiecu.

*) Jakim młotem? I gdzież jest ta „odradzająca się ludzkość,“ któraby miała siłę taki młot ująć? *Red.*

---

zachodu słońca; nie lato pod czystym stropem nieba zgęściło nad widnokręgiem mgły i nie ono z nich zwija małe kłębki chmur, nie ono starło jaskrawe barwy z łąk i nie ono — nad moją głową — trąca gałęzie sosny smutnym poświstem wiatru!

...Na jaskrawym błękicie połyskującą — ujrzałem nagle śliczną nić srebrną. Płynęła ku mnie zwysoka, drżąc cała, chwiejąc się i wyginając lekko. Tak niezwykle długą była i tak świetną, iż trąciłem Maksymka i pokazałem mu ją; zdziwiony się wydał, a gdy rozglądając się, dojrzał wiele takich nici białych z kłębkami u końca, rozproszonych w powietrzu, wleczonych wiatrem, czepiających się szczytów drzew i pochwyconych nizko przez krzaki i trawy, zapytał się niespodziewanie: „A czy to nie z chmury?“ Wówczas pobiegłem wzrokiem w kierunku jego wejrzenia i dostrzegłem nad lasem długą, wyciągniętą równo, cienką jak strzała, srebrzystą chmurkę: w oczach naszych stawała się ona coraz cieńszą i krótszą, rozpłynęła się — znikła...

V.

Był dzień chmurny i wietrzny. Niespokojne porywy wiatru, wzmagające się chwilami, to słabnące znów, nie pozwalały mglistym i wodnym oponom, zaściełającym niebo i nad widnokręgiem zawieszonym — ułożyć się w stałe zarysy. Z przymusem niechętnym upędzały się za sobą wielkie, postrzępione szmaty chmur blado-szarych; ich warstwy to grubiały tak iż wszystko dokoła ciemniało w lekkim, chłodnym mroku, poprzedzającym deszcz, to przerzedzały się i — u zenitu—tylko mgłą białawą przysłaniały błękit, a wówczas na ziemię blask się zlewał jednostajny i biały. Głębia równiny za lasem usłana była nizko mgłą białą, z której wynurzała się niedaleka, oddzielona od lasu kępa brzóz, zlewających się w jedną ciemną i ponurą plamę; dalej, tu i owdzie, stóg czerniał, lub odległe, z mgły wychylone szczyty pojedynczych sosen. A nagle mgła podnosiła się, uchodziła gdzieś w głąb, kraniec równiny ciemniał, pasmem prawie czarnem rozwijał się pod niebem las daleki, a na brzozowej kępie kładł się czerwonawy odblask z resztek ocalałych liści.

Deszcz zaścignął mnie na skraju lasu. Dziwnym się mi wydał świszczący szum jego między nagiemi drzewami, nie mogącemi już nikogo osłonić przed ulewą. Ukryłem się w kureniu, dawno opuszczonym przez pastuchów; jeden bok jego był rozwalony, deski porozsuwane i kupą rzucone na ziemię, obok; z tej strony, jak w ramie, miałem przed oczami niezmiernie prosty obrazek: gromadę młodych, smukłych sosen, które z lasu wybiegły, klinem uszykowane; z za pni ich rzadkich przeglądał stóg siana, ogrodzony, łąka, i znów pojedyncze gromadki sosen pod lasem. W kureniu— wszystko jeszcze nosiło ślady ludzkiego życia, niewiele wymagającego; po bokach — deski, zaciśnięte między wbite w ziemię kołki, obejmowały posłania z siana, które nosiły ślady, odciśnięte ciężarem ludzkiego ciała; na kupie popiołu — pośrodku — leżało kilka głowien, które, zdało się, tylko co tlić się przestały. Jakby od resztek żaru zgaszonego ogniska przejmowało mnie powoli łagodne ciepło, i z niem głęboki, dobroczynny spokój zapanował w myślach moich, a wszystko, com czuł spłynęło w jedno ciche, jakby tłumione uczucie zdrowia. Myśl nie zasnęła i nie ociężała, lecz popłynęła jednem, gładkiem i spokojnem łożyskiem, w którem fale jej tak bez szumu się toczyły i niedostrzegalnie, iż zdawały mi się być nieruchomą powierzchnią. Siedziałem tak długo, i powoli, w zakątku jakimś mej głowy ożyło dawne bardzo, wpół dziecinne marzenie. Oto — poczęło mi się zdawać, iż do szałasu, w którym siedzę, powracają ludzie, którym on się z prawa należy; szybko naprawiają rozwalony bok kurenia; rozpalają ognisko z drobnych, trzeszczących i sypiących złote iskry gałązek sośniny; zapach dymu rozchodzi się, cienkie, żółte płomyki zlewają się w sploty ogniste; blask czerwonawy rumieni wnętrze kurenia i twarze ciemne, surowe, ludzi leżących i siedzących w kolo ogniska. Milczą i nie patrzą na mnie, lecz gdy odchodzą, i ja od-

W obu sekcyach: prawnej i ekonomicznej, przez trzy dni z rzędu obradowano gorliwie, a nawet i żarliwie; poruszano kwestye doniosłości żywotnej — zwłaszcza dla Galicyi — jak np. w referacie p. Parczewskiego: „o rzeczach wolnych od egzekucyi," Kłobukowskiego; „o emigracyi i środkach jej zapobiegawczych"; Federowicza: „o przemyśle naftowym w Galicyi" — lecz mimo to wszystko rezultat naukowy, a nawet i praktyczny zjazdu nie może być wielki. Nasze wiece prawników nie posiadają jeszcze tej wprawy, doświadczenia i powagi, jaką się cieszą sławne „Juristentagi" prawników niemieckich, z uchwałami których liczy się nauka i ustawodawstwo.

Na pierwszem posiedzeniu p. Witold Skarzyński odczytał niezbyt gruntownie, lecz sumiennie opracowany „Szkic historyczny rozwoju rolnictwa polskiego pod panowaniem pruskiem i o obecnem położeniu tak większej, jak i mniejszej własności ziemskiej w Poznańskiem." Szeregi cyfr wymownie świadczyły, w jak przerażający sposób skurczył się ten kawałek ziemi polskiej. Szlachta niemal z dniem każdym traci redutę, a pocieszającem tylko — wedle słów prelegenta — jest to, że sztandar, który przez wieków tyle wytrwale i z godnością nosiła, oddaje w godne, bo *chłopskie* ręce. Zasługą ma to być szlachty, że stworzyła sobie takich następców, lecz w tym razie czyjąż będzie zasługą, że do obowiązków obywatelskich poczuwają się ślązacy, którzy szlachty obok czy nad sobą nie mieli?

Tę samą, jak nić czerwoną, myśl grożącej zagłady snuł w odczycie „o potrzebie swojskiej szkoły w ekonomii politycznej" p. Stanisław Szczepanowski, autor głośnej broszury „Nędza Galicyi w cyfrach." Wykład ten nie miał podstaw naukowych i nie był powiązany dość ściśle; lecz to, co autor mówił o potrzebie stworzenia dla Galicyi polityki taryfowej, któraby kraj ten, znajdujący się w porównaniu z innymi, w największem odosobnieniu handlowem, zbliżyła do naturalnej, wielkiej drogi handlowej, do morza — było bardzo trafne i rozumne, a to, co powiedział o godności i odporności narodowej szkotów, wygłosił z talentem i młodzieńczym zapałem.

Z zapałem również p. W. Spasowicz objaśniał „o obecnym stanie ziemstwa w posiadających je guberniach i o projektowanych w tem ziemstwie przekształceniach." Scharakteryzował dosadnie trzy główne reformy za panowania Cesarza Aleksandra II w Rosyi: włościańską (19 lutego 1861 r.) dla Cesarstwa i 19 lutego (1 marca) 1864 r. dla Królestwa Polskiego—sądową (20 listopada 1864 r.) i ziemską (1 stycznia 1864 r.).

Wogóle ludem, gminą i losami drobnej własności ziemskiej zajmowano się bardzo w obu sekcyach i toczono nader pouczające dla słuchaczów rozprawy. P. Henryk Konic z Warszawy żądał połączenia dzisiejszej gminy galicyjskiej z obszarem dworskim w duchu zupełnego zespolenia, która to potrzeba już dawno dojrzała w umyśle wszystkich rozumnych ludzi Galicyi i co zresztą postanowił już był pierwszy zjazd krakowski.

P. Józef Milewski mówił „o reformie prawa spadkowego w odniesieniu do własności ziemskiej," a p. Adolf Vayhinger „o spadkach włościańskich."

Pokrewnym też co do dążeń był wykład p. Alfonsa Parczewskiego „o rzeczach wolnych od egzekucyi." Na pozór zdawałoby się, że szło tu o jakąś kwestyę specyalną i czysto proceduralnej natury; lecz rozwinięcie tematu nastręczyło sposobność do zajmującej i nader ważnej rozprawy. Prawodawstwa europejskie ochraniają przed poszukiwaniem wierzyciela i zwalniają od egzekucyi niektóre przedmioty, jak ubiór, pościel, narzędzia niezbędne dla prowadzenia rzemiosła lub sprawowania pewnej profesyi naukowej. Natomiast prawodawstwa Stanów Zjednoczonych za przykładem danym pierwotnie przez metropolię Anglii, poszły jeszcze dalej i ochraniają przy poszukiwaniu długu pewną minimalną zagrodę na wsi, po części także i w mieście, która tak, jak wolna od egzekucyi rzecz ruchoma, służyć ma za warsztat dla zagrożonego upadkiem ojca rodziny. Z ustawodawstw europejskich w jednej tylko Serbii prawo z d. 1 stycznia 1874 zapewnia każdemu rolnikowi 5-morgową posiadłość, jako jednostkę nieruchomą, wolną od egzekucyi. Prawo takie odniesione do stosunków galicyjskich miałoby doniosłość pierwszorzędnej wagi. Ze sprawozdania o książce p. Witolda Lewickiego „Nasze czy obce żywioły" czytelnicy *Prawdy* posiadają świeżo w pamięci dokładną wiadomość, jak tłumnie w czasach ostatnich drobna własność ziemska w Galicyi przechodziła w obce, nie zawsze do roli uzdolnione ręce. Gdyby stan taki, bez przedsięwzięcia środków zaradczych, potrwać miał dłużej, kto wie, jaka grozić może katastrofa. P. Parczewski utrzymuje, że jedynem radykalnem na to lekarstwem byłoby uwolnienie od egzekucyi za długi, zaciągnięte po wydaniu odnośnego prawa, pewnej przestrzeni zagrody rolniczej, którą dłużnik własną pracą wyżywić jest w stanie i która jest niezbędnie potrzebną dla wyżywienia jego i jego rodziny.

Wniosek ten zjazd uchwalił, co mu za chlubę poczytać należy, a jeżeli odnośne sfery postarają się o rychłe wprowadzenie go w życie, to chociażby po wiecu lwowskim ta jedna tylko pozostała uchwała, dobrze on zasłuży się krajowi.

(D. n.).

W. K.

LISTY KRAKOWSKIE.

U nas inaczej. — Po wyroku. — P. Koźmian łaknie krwi. — Nić stańczykowska rwie się. — *Kuryer polski*. — Ziarnko do ziarnka, a przebierze się miarka cierpliwości, czyli słowo o p. Glücksohnie. — Gościnne występy i nowe siły w teatrze. — Uroczystość uniwersytecka. — Służba zdrowia w gminach.

Na tak dosadne a wierne rzeczywistości odmalowanie obecnego znamienia i stosunków galicyjskich, jakie wyszło z pod pióra *Posła Prawdy*, nie zdobyłby się żaden z nas patrzących nie przelotnie, ale codzień na najbliższe otoczenie. A nie wynika stąd, abyśmy patrząc codzień na smutny obraz, mieli doń przywyknąć lub marnieć w zobojętnieniu; nie, tylko odczuwając nędzę, widzimy równie zapory tak silnie założone, że niema tędy przejścia bez gwałtu. Lichota i przewrotność wybrały z rozmysłem siedzibę bezpieczną, a otoczone ostrokołem z istot służalczych lub jeno urągowiskiem doli silnie wbitych w ziemię, uprawiają tak zwaną własną politykę, kłaniając się i własnym i cudzym tucznym brzuchom; nazwano kraj ten krajem swobód dlatego, że swobodnie panuje w nim bezład, zbratany z nadużyciem.

Nieład, jaki od dawna zagnieździł się w Akademii umiejętności, bywał często przedmiotem rozmów, ale nie głośnych; zdawałoby się, że to zbiory prywatne, należące np. do p. Majera, ale nie Akademii; a kiedy dzisiaj odkryto kradzież, groza obu-

---

chodzę z nimi, i od chwili tej życie moje należy do nich niepodzielnie. W tem—marzenie staje się rzeczywistością: odgłos ciężkich kroków wielu, wielu ludzi wyraźnie mnie dochodzi, wzmaga się i rośnie gwar ich głosów coraz bliższy mego ukrycia, ziemia drży i z nią ściany kurenia! Podniosłem głowę: tabun koni, pędzony przez dwóch chłopskich wyrostków tylko mignął mi w oczach. Deszcz już nie padał — wyszedłszy z ukrycia patrzałem długo na ciemne sylwetki koni znikających w białej mgle, znów nizko wyściełającej równinę. Pod lasem — chłopak mały pędził krowy, jego krzyk przeciągły zamierał niedaleko płaczliwem echem.

VI.

Las dokoła mnie umiera razem z jesienią i oboje wołają na mnie: „Uciekaj między żywych, jeśli nie chcesz zostać z umarłymi."

Biedny las! zawadzał komuś, więc go zabijają. Setki rąk uderza weń tak zajadle, jakby życie ludzkie zależało od tego, by on istnieć przestał. Najsmutniejszy z dźwięków leśnych—stuk siekiery, nieregularny, urywany, to cichy, to głośny, dochodzi mnie zewsząd, a niekiedy jękiem stłumionym po bezlistnej, płaczącej deszczem puszczy płynie i przelewa się ponury odgłos trzasku i głuchy huk po nim. Dyszące zdrowiem i potęgą życia starce leśne kładą się jeden za drugim; łamiąc i przyciskając swe konary do ziemi — całują ję, obejmują, żegnają. Czasem, który z nich, padając, zatrzyma się i szczyt swój oprze na silnym, niepodciętym pniu sąsiada, wówczas, do człowieka podobny, zdaje się, iż pochylił głowę na pierś brata i płacze, żali się i żegna go czule. Biedne, oszukane starce! gdzież wasze obietnice długiego życia i powolnej śmierci?

I ostatni z dni jesiennych — zamiera!

Zrana na chwilę wyjrzało słońce i uśmiechnęło się tak łzawo i rzewnie, jak umieją tylko konający. Potem chmury zaciągnęły oponę na strop nieba, i spadł śnieg. Białe płatki sypały się wolno i wytrwale jakby rzec chciały: „Nie śpieszno nam, jest nas wiele tam w górze, spadać będziemy tak długo, ile trzeba będzie, by senną ziemię grubą zasłoną otulić." I tkały tę płachtę dla ziemi, tkały z uporem, nie zrażając się, iż miliony ich topnieją za dotknięciem grzbietu śpiącej; lekkie i nieuchwytne czepiały się jedne drugich, na sobie się opierały, przejmując się wzajem chłodem—powoli więc rosła ich warstwa tak lekka, iż zdało się, że dmuchnięcie wiatru w pył ją obróci i rozwieje. Przed wieczorem — wszystko, na czem śnieżynki oprzeć się mogły, było opuszczone i białe. Nastąpiła cisza. Las stał nieruchomy, biały, uroczysty. Niekiedy z gałęzi która — w rozmarzeniu sennem— drgnęła, zsypując pyły śnieżne z lekkim, jak westchnienie szmerem. W mojej piersi coś żaliło się, coś płakało, coś kędyś mnie pociągało; może las do ucha mi szeptał pokusę: „jak słodko jest — jak słodko jest w śnieżnym puchu — białym, chłodnym, miękkim — usnąć!" Na zawsze? — pytałem, roztęskniony.

* * *

Las wnet zniknie, uwalniając z ostatnich więzów równinę i dając rozlać się jej bezgranicznej przestrzenią pól i łąk. Więc żegnam—z prostem i szczerem wzruszeniem—moją ustroń leśną, której nie zobaczę już nigdy taką, jaką była. Lubiłem wnętrze sosnowego boru za prostotę barw, i podobnie lubiłem niedawne dni jesieni za ich cichy spokój, za łagodny smutek, który wieje od nich w chmurną niepogodę, za oględną, stłumioną radość, jaką uśmiechają się w dnie słońca i ciepła, za to, iż one to są skromnem i właściwem tłem dla barwnego obrazu ludzkiego życia lub cichym akordem dla najpiękniejszej z pieśni, pieśni radości i smutków, namiętnych porywów, szlachetnych uniesień, rozpaczliwych zwątpień — człowieka!

F. Brodowski.

rzenia powszechnego zwróciła się ku nieletniemu złodziejowi. Czasem wymagamy od sędziów przysięgłych, aby szli za radą to sumienia, to wiedzy, to znów serca; nie wiemy, kto był przewodnikiem wyrokowi w tej sprawie, bo ukarali surowo, łamiąc życie młodego chłopca z całą bezwzględnością. Odtąd zbiory Akademii, spisane i dozorowane, sprawią zarządowi niespodziankę ilością i wartością niepospolitą, a ogół uważać je zacznie za własność kraju a nie prywatną pp. p. Majera.

Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie widełki stroikowe a tu jeszcze p. Koźmian uderzył w kamerton stańczykowski; dźwięki te nazywają się „Listem otwartym do posła Bobrzyńskiego“ i jako dokument ważny a cenny przechowane zostaną w fonografie zachowawców. Wystarczyłyby same pisaniny o próbach rozstroju do rozstrojenia naprawdę, takie to pisanie liche a spienione złością. P. Koźmian, równie jak i jego poprzednicy, przywdziewa mundur żołnierza i mówi: „Artykuł z *chwili rozstroju* sprawił mi wrażenie potratowania po porażce zaciężnej piechoty przez własną konnicę. Służąc w tej piechocie oddawna, chociaż potratowany, ale nie zmiażdżony, powstaję aby odpowiedzieć i zawołać — baczność!“ Potratowany żołnierz bije jeszcze zapalczywie; odłamkiem bagnetu pchnął „inteligencyę,“ ukazaną przez p. Bobrzyńskiego i obdarowaną dobrą jego wróżbą, złożył sąd wojenny na radykalistów, oskarżając ich o występek narodowy, jakiego dopuścili się wzniecając niechęć włościan do szlachty. W dalszym ciągu listu, potratowany żołnierz prawdopodobnie idzie do szpitala, bo odtąd przemawia redaktor dziennika zachowawczego. W imię walki, jaką zachowawcze dziennikarstwo powołanem zostało stoczyć, zgodzić się nie może na rozgrzeszenie twórców owej roboty burzącej, zgodzić się nie może z p. B., który, zdaniem jego, ubezwładnia sumienne zestawienie faktów.

P. Koźmian chce krwi a mówi śmiesznie: „Skutkiem mogłoby być przebaczenie winy prawdziwym i głównym winowajcom, a tem samem także możność politycznego i parlamentarnego pojednania się z nimi, na co ani ze stanowiska zasad, ani choćby chwilowej użyteczności publicznej, ani też ze względu na gorszący przykład, zgodzićby się w żaden sposób nie można *). Inaczej bowiem, zamiast zdusić w zarodzie niebezpieczeństwo, pchnęłoby“... Te kropki zrobiło podskakujące pióro, którego nie mogłem utrzymać ze śmiechu. Częściej tej krwiożerczości, pisarzu zachowawczy, a życie nie będzie tak smutnem.

I co to wszystko kogo obchodzi? A jednak jest to znamiennie galicyjskiem odbiciem naszej polityki, naszej sprawy społecznej. Słowa p. Koźmiana ci biorą do serca, tamci pod rozwagę, stąd wnioski i rozprawy, a p. K. dumny, że napluł na papier, zyskuje wielbicieli w obozie.

Kiedy p. Bobrzyński zgadza się na wprowadzenie włościan do sejmu, przyznając im pewną rolę i prawa, p. K. wyrzuca ich siłą, przypominając, że zniknięcie siermięg z sali sejmowej i zastąpienie ich posłami z warstw wyższych uważało stronnictwo zawsze jako zdrowy postęp. Na wezwanie p. B. do dzienników politycznych, aby zachowały niepospolitą ostrożność, któraby nie utrudniła działania, odpowiada autor listu: „Wszak nie chciałbyś, aby dziennik polityczny, na wzór baletniczki, do wszystkich się uśmiechał dla zapewnienia baletowi powodzenia; tem mniej przystałbyś na to, aby dziennikarz polityczny, na wzór ranionego gladyatora, błagał przebaczenia i życia od wszelkiego rodzaju motłochu.“

Ładnie powiedział!

*) Ani ze stanowiska szlema czy totusa bez atu. *Red.*

Wyparł się p. Bobrzyński stańczyków, więc przestrzega p. K., że wypierając się częściowo, nie pozbędzie się ich utrudniającego poparcia a nie zyska innego istotnego. Daleką ma być od nich klęska, dopóki radykaliści czynią próby rozstroju, lecz zawsze bliską, gdy konserwatyści zwalniają się z własnej reguły. Rwie się nić stańczykowska, więc p. Koźmian każe guzki motać; łączyć się mają dla walki ze złem, dla kary za występki polityczne, dla chłostania winnych, nareszcie dla pielęgnowania i przekazania przyszłym pokoleniom nauk szkoły.

Szkoda, że ten list nie był zamkniętym.

W zamian za zaniechane wydawnictwo *Kuryera krakowskiego* począł wychodzić *Kuryer polski.* W artykule od redakcyi, zatytułowanym „Bez obłudy,“ czytamy, że pismo nie będzie bawić się w wielką politykę, że chce zająć pośrednie stanowisko między istniejącymi u nas dziennikami i przyczynić się do wytworzenia nowego stronnictwa. Wnioskując z dalszej części programu, nie wiem, czy życzyć szczęścia; więcej tu patosu, niż trzeźwości.

Z kroniki nowego pisma dowiedzieliśmy się o dymisyi, jaką otrzymał p. Przybyłowicz, utalentowany aktor naszej sceny. Ponieważ przedsiębiorcy teatru p. Glücksssohnowi zależy na tem, aby w Warszawie miał dobre mniemanie o sobie, postaram się wkrótce o dobre oświetlenie tej figury; dzisiaj notuję, że wydalając zdolnego a pracowitego aktora, zatrzymał kilka panien—aktorkami nazwać ich nie można, bo prawie nie występują na scenie — o których zdolności czytania „pisanego“ mocno powątpiewają. Być może, że to jest w interesie tych panien i p. Glückssohna, ale nie teatru.

P. Armand Dutertre, inaczej Pluciński, przyjechał z Paryża do Galicyi na gościnne występy. Krytyka miejscowa wyraża się z uznaniem o jego grze, widząc w niej talent, zapał i umiejętną pracę. Stale przybyli scenie pp. Żelazowscy i Ruszkowski, nie udało się jednak przedsiębiorcy nakłonić pp. Pysznika i Frenkla do opuszczenia lwowskiej sceny, a żywiąc dla tej pary artystów wielką życzliwość, przyklasnąć muszę roztropności.

Oczekujemy ministra oświaty, który ma przybyć na uroczystość otwarcia nowej kliniki chirurgicznej, tak długo pragnionej przez profesora, studentów i chorych. Gmach, okazale zbudowany, urządzeniem odpowiada wygodzie i wymaganiom nauki; w nim odbędą się prace zjazdu chirurgów polskich 15 b. m. Program obejmuje jedynie narady naukowe, a prócz towarzyskich wieczornych zebrań nie spotykamy ani utrudzających rozrywek, ani nawet składkowej uczty.

Wniosek ustanowienia służby zdrowia w gminach ma być przedstawiony tegoczesnemu sejmowi; jeszcze w r. 1873 toczyły się nad nim obrady, których wynikiem było przejście do porządku dziennego z wezwaniem rządu do ułożenia innego projektu. Pierwotny podział na okręgi, obejmujące 7,000 mieszkańców— byłoby 739 — już dla samego braku lekarzy musiał uledz zmianie; dzisiaj okrąg sanitarny ma obejmować 15,000 mieszkańców; w pierwszym projekcie nie było wzmianki, czy obszary dworskie należeć mają również do gmin sanitarnych, w nowym wliczono je w okręgi. Dawniej zauważyła komisya administracyjna, iż ze względu na czynności, należące do poruczonego zakresu działania gminy, powinien rząd, który z lekarzy gminnych w znacznej części korzystać będzie, przyczynić się ze skarbu państwa do kosztów utrzymania służby zdrowia; w nowym wniosku mają uiszczać gminy i obszary dworskie 2% sumy opłacanych podatków bezpośrednich, resztę zaś pokrywać ma fundusz krajowy.

Oby doniosła sprawa dla kraju znalazła się na dobrej drodze!

Mor.

SPRAWY EKONOMICZNE.

OPÓR MONOPOLU.

Według doniesień gazet petersburskich, zjazd przedstawicieli dróg żelaznych zwołany do opracowania prawidłowszej taryfy przewozowej rozwiązał się, nie wypełniwszy niektórych poleceń ministra, co stało się wbrew ustawie podobnych zjazdów. Odnośny paragraf brzmi w następujący sposób: „Zjazdy przedstawicieli kolei żelaznych winny się zamykać nie wprzód, aż zostaną rozstrzygnięte kwestye stojące na liście, jak również przedstawione dodatkowo i podlegające wedle wskazówki ministra niezbędnemu roztrząśnięciu.“ Rząd, powołując akcyonaryuszów dróg żelaznych do udziału w ważnej sprawie reformy taryf kolejowych, zaufał ich obywatelskiej dojrzałości, ci zaś panowie pośpieszyli wykazać się z niesforności, która zresztą swoim porządkiem jest odzwierciedleniem chaosu ich gospodarki. Ale państwowa dążność do ujednostajnienia kosztów przewozu kolejowego w myśl wymagań życia gospodarczego w całym kraju i wygody publiczności podróżującej oraz dążność akcyonaryuszów do tuczenia swoich kąsków rentowych — dywidendy: są średnicowo sprzeczne sobie. I dlatego też nie powinno to być niespodzianką, że gdy doszło do rozpraw nad taryfą odpowiedniejszą potrzebom chwili, zjazd musiał się rozprządz. Nic bowiem bardziej naiwniejszego nad powierzanie dobra ogólnego rękom monopolizmu, który z niem nigdy nie miał nic wspólnego. Ujednostajnienie stawek przewozowych pociągnęłoby za sobą zmniejszenie dochodów jednych linij kolejowych a podwyższenie drugich, na co niema zgody. Trudno sobie wyobrazić, żeby tacy uczestnicy zjazdu, jak dyrektorowie dróg, prezesi zarządów, zawiadowcy eksploatacyi itp. ludzie, którym pp. główni akcyonaryusze za trudy „umiejętnego“ kierowania sprawą taryfową i ruchem handlowym kolei udzielają, prócz urzędowych, jeszcze „poufne“ premia: mieli na posiedzeniach przyjść do innych wniosków niżeli ich patroni.

Nic nie wiemy, jakiej treści są owe „niektóre polecenia“ ministra, ale być może, iż nie bratały się one z celami towarzystw. Kto wie nawet, czy te zacne grona wyzyskiwaczy przewozowych nie powtarzają w skrytości ducha: „drzyj łyko póki czas!“ Zamierzone przez rząd upaństwowienie dróg prywatnych, ze względu na trudności finansowe i odległość terminu koncesyj dla najmłodszych linij, niewątpliwie jest jedną z najgłówniejszych okoliczności ubezwładniających czynność pp. przedstawicieli w sprawie ujednostajnienia taryf: nim strychulec układający do wspólnego poziomu zostanie zastosowany, czemu nie zabawić się w spekulacyę taryfową, posiadającą już wszystkie cechy gry giełdowej?

Prasa ruska oburza się na tę postawę wszechwładców dróg żelaznych i radośnie wita niepowodzenie reformy taryfowej za pośrednictwem zjazdu przedstawicieli kolejowych, gdyż w takim razie państwo weźmie na siebie całkowicie rolę niwelatora pielęgnowanych przez egoizm nierówności... Zachodzi obawa, że działalność podjęta w tej mierze z ramienia organu centralnego, tj. departamentu do spraw kolejowych, a właściwie przez radę do taryf istniejącą przy nim, przybierze mocny odcień biurokratyzmu, a zatem z konieczności może się stać zbyt *przewlekłą.* Ale prawdopodobnie potrafi rząd tej niedogodności uniknąć. Przy zarządzie każdej kolei są biura poświęcone sprawom taryfowym danej drogi. Materyał przygotowawczy dostarczany przez nie, służy później za podstawę „szczupakom“ sadzawki akcyjnej do układania stawek przewozowych. Otóż *Dziennik war-*

szawski podsuwa dość *dowcipny* pomysł: Instytucye powyższe, wyjęte z pod zawiadowstwa dróg żelaznych i podane departamentowi do spraw kolejowych, mogłyby w czynnościach reformatorskich rady taryfowej spełniać rolę pomocniczych komitetów do badania miejscowych stosunków ruchu towarowego, tembardziej że w skład ich wchodzą ludzie dokładnie obznajomieni ze sprawą. Co do wynagrodzenia, urzędnicy ci, pomimo zmienionej roli, mają (zdaniem wzmiankowanego pisma) pozostać na utrzymaniu towarzystw kolejowych. „Wszak zarządy dróg żelaznych opłacają z sum dochodów: techników-inspektorów, urząd żandarmsko-policyjny, służbę zdrowia, dlaczegóżby nie mieli opłacać również instytucyi taryfowej, utrzymywanej przez nich dotychczas, tembardziej, iż wydatki na ten cel nietylko że się nie zwiększą, lecz przeciwnie z czasem winny uledz zmniejszeniu?" Innemi słowy: „ponieważ rozciągasz nitkę gumową na 10 centymetrów, rozciągnij jeszcze o trzy!" Ale jeśli powyższa rada zostanie wcieloną w czyn, jak srodze będzie ukaranym egoizm towarzystw kolejowych i jak dalece uwydatni się niedojrzałość spółeczna pp. akcyonaryuszów...

Jaką drogę obierze rząd w przeprowadzeniu reformy taryfowej, rzecz niedocieczona. Jako współzawodnik na polu gospodarstwa kolejowego i, wobec planu wykupu dróg żelaznych, bezpośrednio zainteresowany w warunkach potęgujących ich zyskowność, postąpi najenergiczniej. Oto postanowienie komitetu ministrów, ogłoszone niedawno: „Jeżeli koleje lub zjazdy przedstawicieli kolei nie przedstawią w oznaczonym przez ministeryum finansów terminie zażądanego przez toż ministeryum projektu taryfy, lub też nie ogłoszą w ustanowionej formie taryfy, którą zamierzają wprowadzić w wykonanie, lub zatwierdzonej, a tymczasem ministeryum uzna, że wprowadzenie w wykonanie nowej lub zmiana obowiązującej jest potrzebną dla jednego z celów, wyłuszczonych w § 2 czasowej ustawy o sprawach kolejowych, to, po zatwierdzeniu owych taryf i warunków ich zastosowania w ustanowionym porządku przez komitet taryfowy, minister finansów występuje do senatu o stosowne ogłoszenie tak jednych jak drugich w Zbiorze praw."

Zyg. Piet.

BADANIA NAUKOWE.

LISTY Z WYSTAWY PARYSKIEJ.

VII.

Zjazdy ekonomiczne. — Nieokreśloność ich dążeń. — Kongresy, stojące na gruncie interesów handlu i przemysłu, międzynarodowe dążenia. — Charakter ogólny wystawy ekonomicznej. — Dwulicowość pojęć zasadniczych. — Wynika ona z rozwoju życia. — Kilka słów zakończenia.

Z wystawą ekonomii społecznej ściśle łączą się zjazdy w różnych sprawach ekonomicznych, zwłaszcza obradujące w sali „Koła ludowego." Naturalnie, wszystkie one noszą ten sam charakter zajęcia się obecną kwestyą społeczną, lubo zwracają uwagę na odmienne strony zjawisk. Przyjmują tu udział najrozmaitsze prądy chwili, z wyjątkiem krańcowych socyalistycznych, które z pewnem niedowierzaniem patrzą na próby wszelkiej reorganizacyi ekonomicznej, chociażby nawet w ich duchu, i na dzisiaj przedewszystkiem podnoszą sztandar walki polityczno-klasowej, oraz czysto kapitalistycznych, które obradują o swoich interesach handlowych i przemysłowych bez troszczenia się o jakąś poprawę losu najmitów lub dobrobyt ogólny. Wobec takiej mieszaniny pojęć, uchwały zjazdów wypadają w najróżnorodniejszym duchu; to przeważają żywioły indywidualistyczne, to znowu pragnące pokojowej, lecz nieustającej reformy w kierunku pojęć kolektywnych. Wogóle, rzecz ciekawa, cała wystawa ekonomii społecznej wraz ze zjazdami uznała zupełną prawowitość społeczną i naukowo-pokojowych dążeń kolektywnych; to, co tutaj uchodzi często w oczach władz za pożądane, doprowadziłoby dawnych manczesterzystów do rozpaczy. Chodzi już nie o stłumienie prądów tego rodzaju, lecz o wepchnięcie na tory, że tak powiem, pracy „organicznej."

Zwracamy się jednakże ku zjazdom. W końcu czerwca obradował kongres tanich mieszkań, poruszył wszakże sprawę z punktów teoretycznych: ekonomicznego, prawodawczego, moralnego. Wśród zarządu spotykamy znane w świecie ekonomii politycznej imię Rafałowicza. Uchwalono, iż zdrowe, wygodne i najzupełniej oddzielone od innych kilkoizbowe mieszkania dla rodziny robotniczej są bardzo... pożądane. W początkach lipca następuje cała powódź zjazdów. Przedewszystkiem kongres mieszania się władz publicznych do umowy pomiędzy pracodawcą a najmitą. Na porządek dzienny występuje sprawa ograniczenia dnia pracy z uwzględnieniem różnego wieku i płci; dalej rozprawiano o ustanowieniu minimum stałego płacy, przyczem poruszono pewne stałe normy zarobkowe przy pracach publicznych i niektórych prywatnych, rolę sądów rozjemczych w sprawie płacy, wdawanie się państwa do zatargów pomiędzy pracodawcami a najmitami, zwłaszcza zaś udzielanie wsparć bezrobocionym przez rady miejskie, wreszcie mówiono o biórach stręczeń w rodzaju powstających giełd pracy. Następnie zajęto się sprawą odpowiedzialności pracodawców za nieszczęśliwe wypadki; przywilejami, wsparciami dawanemi stowarzyszeniom i związkom robotniczym; obroną pracy narodowej przeciw cudzoziemskiej (ograniczeniem liczby obcokrajowców w fabrykach, opłatą pobytową lub wchodową dla cudzoziemca). Z dniem ukończenia tego zjazdu rozpoczął się inny, pokrewny — wtrącenia się władz publicznych do ceny środków spożywczych. Poruszono tutaj sprawy: oclenia środków spożywczych, jego wpływu na produkcyę i spożycie krajowe oraz poziom zarobków; ścieśnienia rynków przez związki ze strony wytwórców; wpływu taryf na stosunki międzynarodowe; traktatów handlowych, premij wywozowych, konwencyi cukrowarów; oddziaływania państwa i władz na ceny pewnych towarów drogą otaryfowania i wydania taks lub przez ograniczenie swobodnego współzawodnictwa (taksy na chleb, mięso); organizowania przez zarządy municypalne usług publicznych, jak: piekarni, rzeźni, bazarów, omnibusów, tramwajów. Nic nie wiemy o ostatecznych uchwałach obu tych zjazdów; wśród członków komitetu zarządzającego znajdujemy nazwiska Molinari i Passy, znanych ze swego wolnohandlowego indywidualizmu, lecz już samo wniesienie pod obrady takich spraw, jak wspieranie bezrobocych przez rady miejskie, ustanowienie minimum płacy, prowadzenie przez radę miejską tramwajów lub piekarni, wskazuje, że nie chodziło tu o mrzonki, lecz że przeciwnie są to zamiary mające grunt realny i podawane w praktycznej i możliwej do urzeczywistnienia postaci. We Francyi rady miejskie stanowią właśnie ognisko tych prądów, zwłaszcza paryska; są to bramy, przez które do władzy publicznej wciskają się żywioły zabarwienia kolektywistycznego. W połowie lipca obradował zjazd międzynarodowy w sprawie przypuszczenia robotników do udziału w zyskach z przedsiębiorstwa. Składał się z samych pracodawców i przedewszystkiem poruszył kwestye praktyczne. Ruch bowiem udziałowy przyjął szerokie rozmiary i nastręczył mnóstwo zapytań technicznych, jak dać najlepsze i najwygodniejsze warunki robotnikowi, aby to było z korzyścią dla przedsiębiorcy. O zjeździe pomówimy szczegółowiej, kiedy rozpatrywać będziemy w przyszłości prąd udziałowy. We wrześniu zapowiadano zjazd stowarzyszeń kooperacyjno-spożywczych; sprawy czysto techniczne: zyskania pewnych sankcyj prawnych, wyszukania celu dla funduszów rezerwowych i t. d.; zjazd w sprawie nieszczęśliwych wypadków: stan sprawy w różnych krajach, środki zapobiegawcze itd. Zjazd spoczynku tygodniowego, urządzeń oszczędności i przezorności *).

Skoro potrąciliśmy o zjazdy ekonomiczne, obradujące nad polepszeniem dobrobytu i jutra tłumów pracujących, powiemy też przy sposobności słów kilka o innych kongresach, które dotknęły również spraw ekonomicznych, lubo stanęły na gruncie praktycznych interesów handlu i przemysłu. Tu należy lipcowy zjazd „własności przemysłowej," sierpniowy — spadkowania i przechodzenia własności ziemskiej, wreszcie wrześniowe — handlu, sprawy monetarnej, towarzystw akcyjnych. Otóż w nich wszystkich zauważyć się daje pewna szczególna dążność — wyjścia po za szranki ustrojów narodowościowych i politycznych obecnej chwili. Zgadza się to najzupełniej ze zjawiskiem, że stosunki ekonomiczne tegoczesne stwarzają pewien międzynarodowy organizm zależności wymiennej. Tak, na zjeździe „własności przemysłowej," między innemi, podjęto następujące zagadnienia: prawo cudzoziemców do otrzymania patentu krajowego i międzynarodowe prawodawstwo w tym względzie, prawodawstwo to w zakresie wynalazków, rysunków i modeli, sprawę marek i znaków handlowych i przemysłowych, konieczność międzynarodowego ustawodawstwa w tej mierze i instytucyi międzypaństwowej do zapisywania marek używanych, oraz powstrzymania podejść. Unię międzynarodową własności przemysłowej. Zjazd handlu poruszył znowu międzynarodowe prawodawstwo handlowe oraz pracy; towarzystw akcyjnych — uregulowanie kodeksów o do udziału akcyonaryuszów obcokrajowców. Monetarny poszedł jeszcze dalej, bo przedstawił konieczność jednakiej miary i jednakiej monety dla wszystkich krajów. Podobne też dążenia wypowiedziały różne zjazdy naukowe: ujednostajnienia terminologii zoologicznej, psychologicznej, botanicznej, nawet fotograficznej. Jeszcze dalej posunął się kongres partyj robotniczych, które uznały wszelkie przeszkody i zacieśnienie widnokręgów wymiennych za sprawą warstw panujących i obwieściły solidarność celów i dążeń wszystkich grup najmickich.

Słowem, zjazdy tegoroczne, o ile postawiły przed sobą sprawę polepszenia bytu ludności, zapuściły się głęboko w życzenia często wręcz wrogie obecnemu indywidualizmowi ekonomicznemu. Być może, bliżej staniemy rzeczywistości, jeżeli rzekniemy, że przedstawiały pewną hermafrodytyczną dwulicowość. Osioł w bajce umiera z głodu przed dwiema wiązkami siana, nie mogąc zdecydować się na żadną. Zjazdy natomiast skubały bez skrupułu z indywidualizmu i spólnictwa. Podobny właśnie widok dwulicowości przedstawia i sama wystawa ekonomii społecznej. Kapitalizm w swoim rozwoju, rozkładając dawne porządki, a wysysając soki z tegoczesnych warunków, jednocześnie organizuje pierwiastki jakiejś nieznanej dalszej przyszłości społecznej. Otóż, o ile te pierwiastki są temperamentu łagodnego i pokojowego, przyjęto je otwartemi rękami, a raczej powołano do życia bez zdawania sobie na razie sprawy, jakkolwiek w gruncie rzeczy zaprzeczają one

*) „Koła ludowe" zgrupowało jeszcze kilka [illegible]ych zjazdów: kół ludowych i samokształcenia, p[illegible]oju, ćwiczeń ciała, w sprawie alkoholizmu itd.

obecnie istniejącemu porządkowi. Dziwnie wygląda sala Rycerzy pracy z hasłami: „zadaniem naszem jest wartość moralną i przemysłową, lecz nie bogactwo uczynić istotnym probierzem znaczenia jednostek i narodów,“ „mamy na celu zakładanie stowarzyszeń współdzielczych, tak, iżby obecny system zarobkowy został zastąpiony przez inny — płac współdzielczych“ i przyznaniem, że najlepszy prawodawca jest jeszcze wrogiem, a obok tablice, w których różni przedsiębiorcy opowiadają o sposobach, jak uczynić pracę w zakładach wydajniejszą za pomocą stopni szkolnych i odpowiednich nagród... Wejdźmy do domków robotniczych naturalnej wielkości. Na ścianach wiszą tu hasła, streszczające całą filozofię ekonomiki mieszczańskiej. „Lenistwo jest macierzą wszystkich występków,“ „pracą a oszczędnością przezwyciężysz wszystko,“ „gdzież lepiej nad życie pod własną strzechą?“ W domku z Vieille-Montagne wystawiono fotografie z dziejów robotników „wzorowych.“ Oto jeden urodzony w 1832 roku. Służy w zakładach towarzystwa od młodego wieku. Początkowo pobierał 1,8 marki dziennie, obecnie 3,8. Żonaty od r. 1861. Z uzbieranych oszczędności kupił na własność domek w r. 1864. Na ścianie wisi jego fotografia, jako też domku... Lecz już sama obecność na wystawie wspomnianych „Rycerzy pracy“ przeczy tym wszystkim sielankom; wraz z syndykatami robotniczymi związek ten targa ułudną pajęczynę harmonii wzajemnej pomiędzy owcą a wilkiem. Niejaki Dolge, znaczny przedsiębiorca ze Stanów Zjednoczonych, wystawił inny dowód agitatorski w duchu prawomyślnym. Jest szklana skrzynia, długa $1 \frac{1}{2}$—2 łokci, szeroka i wysoka około łokcia, napełniona kopertami. Przedstawia ona namacalnie, jak wielki jest majątek p. Dolgea, gdyby go zamienić na 100-dolarowe papiery. Na górze zaś leżą trzy monety srebrne: pięcio-, dwu- i jedno-frankowa. To majątek, z którym ten przedsiębiorca przybył do Ameryki przed 17 laty, będąc wtedy gorącym zwolennikiem i uczniem Liebknechta. Obecnie czasy się zmieniły. W broszurze darmo rozdawanej autor oświadcza się przeciw klasowo - politycznym organizacyom warstwy pracującej, zaleca oszczędność, powołując się na swój własny przykład, wreszcie piorunuje przeciw 8-godzinnemu dniowi roboczemu. „Robotnik poniża się do stopnia bydlęcia, staje się narzędziem bezwładnem szarlatanów z wywieszonym językiem, zmusza rzeczywistych przyjaciół przejść do szeregów nieprzyjacielskich!“ A tymczasem, jakby naumyślnie, w pobliżu uderza wywieszone hasło zjednoczonych robotników amerykańskich: „Chcemy 8 godzin pracować, 8 odpoczywać i z 8 pozostałemi robić, co się nam tylko podoba!“ To znowu w jednych salach mamy zupełną indywidualizacyę mieszkań. Są to fabryki wiejskie Alzacyi, Belgii, Holandyi. Domki dla oddzielnej rodziny z ogródkami, nawet ustępami odrębnymi. Tymczasem Nowy-York i Londyn występują z ogromnymi gmachami dla kilkuset, a nawet 1,047 rodzin! Podobne starcie zasad samopomocy osobistej przez oszczędność z samopomocą polityczno-klasową, wysługiwania się kapitaliście a z wiązku przeciw niemu, indywidualizmu a kolektywizmu, stanowi treść całej wystawy ekonomii społecznej. Wogóle obraz ciekawy, przypominający przysłowie, że schwycił kozak tatarzyna a tatarzyn za łeb trzyma. Urządzający tę część wystawy pragnęli, być może, jeśli nie napewno, skupić wszystkie dodatnie strony istniejącego porządku rzeczy. Odwołano się do wszystkich urządzeń w tym rodzaju. Lecz gdzie ich szukać? Jeżeli idzie o jakieś instytucye samopomocy, samokształcenia, szpitale, szkółki, ochrony dla małych dzieci, naturalnie nie będziemy oglądali się za niemi wśród warsztatu drobnego rzemieślnika lub małego przedsiębiorcy, lecz zwróćmy się np. do fabryk żyrardowskich lub Scheiblera w Łodzi. Podobnie i na wystawę, z tego samego powodu, wyruszyli wielcy przedsiębiorcy. Ale zebranie znaczne ilościowo materyałów tego rodzaju, wyrosłych na gruncie olbrzymich zakładów, powołało do życia jakościową różnicę. Zebranie pralni dla rodzin fabryki wykazało, jak jedna cząstka ogniska rodzinnego zaniknęła tutaj w działalności pozadomowej; zebranie ochronek dziecięcych i szkółek fabrycznych udowodniło, jak inne zadanie rodzicielskie rozpływa się w społecznym podziale pracy. Dochodzi do tego, że Familisterya w Guise, zbudowana według modelów Fourierowskich i pomijana milczeniem przez prawomyślną ekonomikę, znalazła się w towarzystwie bardzo licznem; ponieważ zaś jest owocem świadomej działalności, posiada przeto tę wyższość nad płodami nieświadomie zorganizowanymi przez życie, że daje to samo z mniejszym wydatkiem pieniędzy. Albo weźmy towarzystwa udziałowe i spożywcze. Są to Benjaminki nawet pp Molinarych. Pierwsze, jak zobaczymy wkrótce, mają na celu głównie interes pracodawców. Na wystawie oglądamy dokumenty 131 z pośród nich. Zestawmy tę całość, a otrzymamy bardzo surowy wyrok na porządki tegoczesne—zaś nie ze strony etycznej, lecz czysto technicznej. Okaże się, iż istnieje jakiś porządek ekonomiczny, który daje większe zyski i odznacza się większą wytwórczością, aniżeli obecny... Sala stowarzyszeń spożywczych z pomnikiem angielskiego „Whole-sale Society“ jest znowu osądzeniem pośrednictwa handlowego. Postawiono tu nowy ideał społeczny, już wcielony w obrębie kilku milionów: jedno olbrzymie stowarzyszenie pracująco-wymienne, bez przedsiębiorców i pośredników... Urządzający chcieli wykazać dodatnie strony obecnego życia ekonomicznego; wzięli je i zebrali, one zaś w zgromadzeniu wypowiedziały nowy ideał społeczny. Sól Wieliczki kiedyś istniała w postaci niedostrzegalnej w wodach morskich; podobnie pierwiastki nowego ustroju istnieją obecnie i wzrastają, osadzając się zwolna. Wystawa ekonomii politycznej była próbą nieświadomą zgęszczenia ich dążności...

Na tem zakończymy nasze listy sprawozdawcze o wystawie. Zamiast całokształtu daliśmy tylko odłamki. Ależ wystawa jest żyjącą encyklopedyą techniki i wiedzy tegoczesnej, a dla przedstawienia jej potrzeba wielu sprawozdawców. Nadto z powodu mojej nieobecności, jako też nieobecności redaktora nagłówek dany moim listom uległ pewnej zmianie. Postawiłem tytuł inny i miałem zamiar z całym naciskiem przedstawić chaos wystawy jako nieodłączne następstwo walki interesów i braku świadomej samoorganizacyi społecznej. W szeregu innym artykułów „Zorganizowane pierwiastki społeczne“ chciałem odmalować dążności z ekonomii społecznej, zaglądające w nieznaną przyszłość a odmienne od teraźniejszości. Wszystko to nieco uległo zmianie. Anarchia panująca na wystawie została skreślona mniej wyraźnie. Mniemam jednakże, że zachowam dostateczną jasność w przedstawieniu drugiej części, do której przystąpię w szeregu niezależnych od siebie artykułów.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

O NAJNOWSZEM OPRACOWANIU HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

II.

Autor dzieli historyę literatury polskiej na cztery okresy: 1) od r. 965 do 1386; 2) od 1386 do *1600*; 3) od *1600* do 1772; 4) „*od 1772 do dni naszych.*“ W układzie tym uderzają nadewszystko dwa szczegóły: 1) rok *1600*, jako granica chronologiczna, mająca oznaczać zwrot w dziejach piśmiennictwa; 2) zmieszanie okresów — Stanisławowskiego i Mickiewiczowskiego — w jeden.

Przyznajemy, że około r. 1600 „budowa polityczna“ Rzeczypospolitej widocznie „zarysowywać się zaczęła“: z jednej strony unia brzeska (1595—1596), rzucająca posiew rozstroju na niwę południowo-wschodnią, z drugiej rokosz Zebrzydowskiego (1606—1607) — wymownie o tem świadczą; ale w historyi literatury żadna wtedy zmiana epokowa nie nastąpiła. Ważne w losach piśmiennictwa zwroty nie bywają równoczesne z wywołującymi je wypadkami śród ustroju społeczno-państwowego: owoce literackie są uwarunkowane odpowiednią uprawą umysłów, których za dotknięciem różczki czarodziejskiej przekształcić niepodobna; zanim więc wpływ, pochodzący od jakiegoś faktu życiowego, znajdzie wyraźny odblask w pracy twórczej pisarzów narodowych, kilkadziesiąt lat zazwyczaj upływa. Reakcya np. katolicka, przez kilku apostołów szerzona, ujawnia się, jako zawiązek, w niektórych faktach już przy schyłku panowania Zygmunta Augusta; wzrasta w porze dwu bezkrólewi; rozwija sztandar pod Stefanem Batorym; opanowywa tron monarszy w osobie Zygmunta Wazy; lecz na niwie literackiej — mimo wczesnego kiełkowania, wraz z pierwszymi płodami Skargi — zakwita bujnie dopiero na początku drugiej połowy XVII-go wieku, a i wtedy silny jeszcze znajduje protest w satyrycznych Krzysztofa Opalińskiego przeciw duchowieństwu wycieczkach. Rok 1600, choćbyśmy pod nim rozumieli ostatni dziesiątek szesnastego i pierwszy siedemnastego stulecia (1590—1610), żadnej wybitnej w piśmiennictwie nie upamiętnił zmiany. Jeżeli autor lekceważy wpływ różnych prądów, jak np. reformacyi religijnej lub reakcyi katolickiej, powinienby zwrócić przynajmniej uwagę na to, że w r. 1600 nie zgaśli jeszcze wszyscy przedstawiciele „wieku złotego“; Górnicki wprawdzie i Klonowicz stoją na schyłku życia; ale Skarga i Simonides (Szymonowicz) jaśnieją w pełnym blasku sławy, a ich następcy (Fabian Birkowski i Zimorowiczowie) nie są znowu takimi karłami, żeby ich *w ogólnym na cztery okresy podziale* można było od poprzedników odłączać.

Granica, oddzielająca okres trzeci od czwartego (*r. 1772*) łatwiej da się usprawiedliwić; lecz i ona jest wynikiem zasadniczego błędu, jaki M. Dubiecki popełnił, historyę polityczną i literacką do wspólnego sprowadzając mianownika. Doba mniej więcej dwudziestoletnia przed r. 1772 (którą sam autor ochrzcił nazwiskiem Konarskiego), bardziej się swym charakterem zbliża do czasów następnych, niż do poprzedzających; data więc „pierwszego rozbioru“ może w historyi piśmiennictwa odegrać rolę drugorzędnej tylko miedzy. Grubą natomiast, elementarną usterką jest splątanie w jeden okres czasów Stanisława Augusta z Mickiewiczowską i bieżącą epoką. Mniejby już nas raziło, gdyby autor podzielił historyę literatury polskiej na dwa okresy i za słup graniczny uznał rok 1820 lub 1822, jako chwilę, od której (w przybliżeniu) zaczyna się bujny rozwój, zarówno poezyi, jak dziejopisarstwa.

O ile w układzie ogólnym zwraca M. D. baczną uwagę wyłącznie na epoki państwowe, o tyle w poddziałach zupełnie prawie z historyą polityczną zrywa. Nie dba on zresztą o ściśle przeprowadzenie drugorzędnych miedz, śród całej przestrzeni dziejowej; lecz sposobem epizodycznym niektóre tylko, wybitniejsze, według swego mniemania, zaznacza chwile. Wiek XV np. nazywa *dobą Długosza*; „kilkadziesiąt środkowych lat XV stulecia“ — *dobą Kochanowskiego*, „złotą“ lub „wiekiem Zygmuntów“;

„ostatnie lata III okresu“ — „dobą Konarskiego“; czasy porozbiorowe (1795 do 1822) *dobą Brodzińskiego*; resztę zaś przędzy historyczno-literackiej, zgodnie ze zwyczajem pospolitym, ozdabia w nagłówku imieniem Adama Mickiewicza. Ochrzczenie „doby złotej“ nazwą „Kochanowskiego“ nie jest zapewne herezyą dziejopisarską; w każdym jednak razie — niestosownością, mianowicie w książce, poświęconej losom całego obszaru wiedzy ludzkiej: Jan z Czarnolasu wywarł bez wątpienia wpływ na wielu rymotwórców; ale poza tą sferą żyje i działa liczne grono wybitnych pracowników, zgoła od niego niezależnych. Wiek XV, w dziedzinie historyografii, moglibyśmy nazwać „dobą Długosza i *Kalimacha*“; ale w podręczniku, mającym odbijać wszystkie zjawiska główne, spostrzeżone na szerokim widnokręgu piśmiennictwa, tytuł „doby Długoszowej“ — wobec szeregu uczonych na polu wiedzy matematyczno-przyrodniczej, wobec Jana Ostroroga i wyraźnych zawiązków humanizmu — do niefortunnych pomysłów zaliczamy. Nazwanie wreszcie podokresu, rozpoczynającego się z rokiem 1795, „dobą Kazimierza Brodzińskiego“ — najpobłażliwszej nie wytrzymuje krytyki. Wszak na widowni literackiej spostrzegamy naszego estetyka-poetę dopiero przy schyłku epoki: w r. 1818 staje się on jednostką, znaną szerszemu ogółowi, dzięki swej rozprawie *O klasyczności i romantyczności*—jest to wszakże tylko zawiązek późniejszego wpływu. Czyż więc można dobie, trwającej lat 27, nadawać miano „Brodzińskiego,“ gdy ten przez cały niemal jej ciąg żadnym utworem ogłoszonym istnienia swego nie zdradził?..

Śród takich ram, niejednolitych i poprzerywanych, rozwija autor historyę piśmiennictwa w najszerszem danego słowa znaczeniu. Brak dobrej metody i ładu chronologicznego uderza na każdym kroku. Historyk wprawdzie postępuje torem, z góry wytkniętym: zarys ogólny peryodu poprzedza zawsze wiadomości szczegółowe; poczya idzie przed prozą, swojskość — przed cudzoziemszczyzną; koryfeusze stoją w pierwszym szeregu, a naśladowcy, stosownie do wartości, w drugim, trzecim lub czwartym: ale taki właśnie sposób traktowania dziejów, wobec różnorodności przedmiotu i bezprzykładnej prostoty podziału, tem większy wytwarza zamęt, że p. Maryan Dubiecki, od czasu do czasu, łamie uznane szranki, aby, gwoli jakiejś metodzie przygodnej, porównać ze sobą mniej więcej pokrewne, a do różnych epok należące osobniki. Historya więc, pod piórem naszego autora, tu i owdzie w gruzy się rozpada. O Macieju Rybińskim (zm. 1612), Jakóbie Gębickim (zm. 1633), Jaroszu Moskorzewskim (zm. 1625), Andrzeju Wolanie (zm. 1610), Pocieju, metropolicie kijowskim (zm. 1613), dowiadujemy się wcześniej, niż o Mikołaju Reju z Nagłowic (zm. 1569) i Janie Kochanowskim (zm. 1584); Wacław Rzewuski (zm. 1779) poprzedza bezpośrednio Stanisława Serafina Jagodyńskiego (który z widowni dziejowej schodzi w r. 1633); Erazm Otwinowski (autor pamiętników, zakończonych na r. 1728) idzie przed Szymonem Starowolskim (zm. 1656); Benedykt Chmielowski (żyjący w pierwszej połowie XVIII wieku) — przed Szymonem Okolskim (zm. 1653); Bohomolec (zm. 1784) następuje po Woroniczu (zm. 1829); Marcin Matuszewicz (zm. 1773) — po Kołłątaju (zm. 1812); J. U. Niemcewicz (ur. 1757) — po Brodzińskim (ur. 1791); Ludwik Osiński i Kajetan Koźmian — po Ad. Mickiewiczu; Maurycy Mochnacki (zm. 1835) — po Stanisławie hr. Tarnowskim (ur. 1837). Takich powikłań anachronistycznych w książce p. Dubieckiego bardzo wielką nałowić można ilość. Poglądy ogólne, równie jak ich wykładniki, częstokroć nie na swojem znajdują się miejscu; tak np., mówiąc o kobiecie polskiej z czasów przedhistorycznych, o jej rzekomem z mężczyzną równouprawnieniu na obradach wiecowych, przytacza autor słowa Jana Kochanowskiego („Żona uczciwa — ozdoba mężowi...“), a pobieżną rehabilitacyę wieku XVII łączy ściśle z uwagami, poświęconemi Stanisławowi Ser. Jagodyńskiemu (str. 411), który właśnie, będąc typowym panegirystą, reprezentował niższą sferę ówczesnej twórczości literackiej.

W dziele Maryana Dubieckiego spotykamy często niejasne, wątpliwe lub też po prostu błędne wskazówki. Dowodzą one wymownie, iż historyk, lekceważąc w znacznej części wyniki, do jakich doszli autorowie monografij z ostatnich lat kilkunastu, idzie torem dawniejszych poprzedników, i uważa niejednokrotnie za pewnik to, co nowsze badania stanowczo obaliły.

Mateuszowi herbu Cholewa— bez względu na odkrycia i studya Przeździeckiego, Tyszyńskiego, Zeissberga, Bielowskiego (*Monumenta*, III) — przypisuje M. D. trzy pierwsze księgi pracy Mistrza Wincentego (t. I, str. 53), z taką stanowczością, jakby stara hipoteza Lelewelowska niczem a niczem nie była zachwiana.

Bogufał (Boguchwał), biskup poznański i Baszko Godzisław — *przegrodzeni Jankiem z Czarnkowa* (str. 56, 57) — figurują po dawnemu, jako autorowie bezimiennej „Kroniki wielkopolskiej“ — chociaż udział ich w tej pracy przez kilku badaczów (Gerharda, Kętrzyńskiego i Warmskiego) silnie został zakwestyonowany.

Witelona p. Maryan Dubiecki nazywa jeszcze „Vitellionem albo Ciołkiem,“ wbrew sumiennym wywodom, w *Rozprawach i sprawozdaniach wydziału historycznego*, przed dziesięciu laty ogłoszonym.

Błądzi autor, utrzymując, że „zasady, przez Parkosza wytworzone, do dziś są podstawą naszej ortografii.“ Uczony z wieku XV-go zajmował się nie *ortografią*, lecz *grafiką*. Charakterystyka książeczki Parkoszowej (str. 100) pomija cechy jej zasadnicze, a zamyka w sobie szczegóły zmyślone, świadczące, że historyk wiadomość o przedmiocie z mętnego czerpał źródła: ksiądz Jakób *nie* „kreskował spółgłosek;“ rozróżniał litery: *i — y, l — ł*, ale inne do nich, niż my dzisiaj, przywiązywał znaczenie; zaakcentował natomiast wyraźnie teoryę iloczasu brzmień wokalnych—o czem w dziele p. Dubieckiego żadnej nie znajdujemy wzmianki.

„Janczara,“ pamiętnikarza z wieku XV, nazywa autor „polakiem“ (str. 105), wbrew nowszym badaniom, które dowodzą, że był serbem.

Mitycznemu „Andrzejowi ze Słupia,“ poświęcono dość obszerny artykuł (str. 110, 111, 112), jako twórcy kilku pieśni nabożnych z XV stulecia, bez względu na to, że Mikołaj Bobowski, na podstawie krytyki gruntownej, odsądził go od ich autorstwa (*Die polnische Dichtung XV Jahrh.*, 1883).

Mówiąc o filozofii, uprawianej u nas w wieku XV, nie wspomina nic historyk o dwu różnych obozach myślicieli („realistach“ i „nominalistach“), a scholastycyzm uważa jakoby za jedno z systemem Arystotelesowym („Hołdowano *filozofii scholastycznej, tj. filozofii Arystotelesa*, wirując ciągle w jednym kole formułek...“, str. 115).

Długosz i Filip Buonacorsi, jak sądzi p. M. D., „nigdy o sobie w pracach swych nie wspominają.“ Nie jest to bynajmniej prawdą bezwzględną: Długosz bowiem, pisząc w swej kronice, pod r. 1477, o śmierci Grzegorza z Sanoka, dodaje: że *biografię* znakomitego męża *Kalimach, włoch uczony, wybornem skreślił piórem.*

W ogólnych o wieku XVI uwagach, autor, nie zaprzeczając prądowi reformatorskiemu widocznego wpływu na rozbudzenie umysłów, a stąd i na literaturę, powiada jednak: „Reformacya dała naszemu piśmiennictwu wielu piszących, ale nie dała znakomitych: żaden z obozu różnowierczego nie zasłynął jako pierwszorzędny prozaik, mówca, porywający siłą natchnienia, lub poeta, górujący nad innymi.“ Zdanie to, jak sądzę, nie wytrzyma bezstronnej krytyki: wszakże Mikołaj Rej z Nagłowic, protestant, jest, w stosunku do poziomu swego czasu, niezaprzeczoną znakomitością, a w sferze wiedzy politycznej Andrzej Frycz Modrzewski nad całym góruje ogółem. Zapomina przytem historyk, że o wyznaniu religijnem jednostek wybitnych nie na podstawie metryki kościelnej sądzić należy: estetyk-psycholog przekonania pisarza z właśnych dzieł jego odtworzyć się stara. Nie ulega np. najmniejszej wątpliwości, że Jan Kochanowski był wyznawcą zasad, sprzecznych z katolicyzmem: nie uwielbia on nigdzie skrystalizowanych, pod pokrywą papizmu, dogmatów; do świętych pańskich się nie modli, a z mnichów i różnego stopnia kapłanów drwi nielitościwie. Potrzeba wreszcie pamiętać, że reformacya wydała zarówno Stanisława Orzechowskiego, jak i Piotra Skargę, choć pierwszy był tylko przeciwnikiem celibatu, a obaj żarliwymi obrońcami praw łodzi Piotrowej.

M. D. poucza nas, że „Mikołaj Rej z Nagłowic umarł prawdopodobnie w r. *1577*“ (str. 201). Niespodzianka, którą pragnęlibyśmy uważać za błąd korektorski, jeżeli, naturalnie, autor nie odkrył jakiego dowodu, stwierdzającego nową zupełnie datę. Wahano się dawniej między rokiem 1568 a 1569; ale wyciągi z *Akt chęcińskich*, ogłoszone w *Ateneum* (za r. 1880), przekonały wątpiących, że zgon Reja nastąpił po 21 czerwca, a przed 17 grudnia *1569*.

(D. n.).

A. G. Bem.

Z NIEMIEC.

28 września.

Z literatury społecznej: J. Posta „Musterstätten persönlicher Fürsorge von Arbeitgebern für ihre Geschäftsangehörigen.“ — Profesora Brentana wykład „Ueber die Ursachen der heutigen socialen Noth.“— Augusta Miaskowskiego „Agrarpolitische Zeit- und Streitfragen.“ — „Die neue Circe,“ powieść Ryszarda Vossa. — „Gespenster im Sonnenschein,“ szkice Ernesta Weckslera.

Nie można odmówić niemcom zasługi, że w rzędzie społeczeństw europejskich najgruntowniej może zajmują się reformami społeczno-ekonomicznemi, aczkolwiek z powodzeniem wątpliwem. Nigdzie nie powstała tak obfita literatura naukowa i publicystyczna, poświęcona tym sprawom, nigdzie tak szerokie koła społeczeństwa nie zrozumiały jasno niezbędności zmian, nigdzie wreszcie państwo nie podjęło tak obszernej działalności na tem polu. Działalność ta, co prawda, ogranicza się na półśrodkach i kwestyi nie rozwiąże; byłoby jednak zaślepieniem odmawiać zgoła wszelkiej użyteczności upaństwowianiu przedsiębiorstw, ochronnym prawom robotniczym, państwowemu ubezpieczaniu robotników, podnoszeniu poziomu umysłowego klas pracujących na drodze starannej oświaty ludowej. Podobnież wszystko to, co dziś właściciele fabryk czynią dla poprawy położenia swych pracowników, nie może być uważane jako ostateczne rozcięcie wielkich sprzeczności ekonomicznych, zasługuje jednak na uznanie i uwagę jako jedyna w dzisiejszych warunkach bezpośrednich dla robotników ulga. Można niedowierzająco zapatrywać się na „patryarchalny“ stosunek pracodawcy do robotników i śmiało przypuścić, że w najrzadszych tylko wypadkach urządzenia wprowadzane przez fabrykantów dla dobra ich ludu zawdzięczają swe powołanie szlachetnemu współczuciu, bo częściej ambicyi, próżności, wstydowi lub musowi; nie

można atoli przeoczyć, że w Niemczech urządzenia podobne rozszerzają się coraz bardziej i że robotnicy znaczne z nich odnoszą korzyści materyalne, umysłowe i moralne. A zapewne dodatni wpływ wywrze w tym kierunku świeżo wydane u Oppenheima w Berlinie dzieło profesora Posta p. t. „Wzory osobistych starań pracodawców dla robotników.“ Z niemiecką iście gruntownością i pilnością zbiera autor wzory instytucyj i urządzeń, mających na celu dobro robotników fabrycznych w Niemczech i w krajach ościennych. Opisuje nietylko najdokładniej historyę ich powstania i stan obecny, ale usiłuje przedstawić skutki spoleczno-ekonomiczne. Dzieło Posta ma objąć parę tomów. Dotąd pojawił się tom pierwszy, zaopatrzony w liczne plany i ilustracye, a poświęcony urządzeniom, przeznaczonym dla dzieci i młodych robotników. Obok zakładów dla położnic i dzieci nowonarodzonych, szkółek Froeblowskich, szkół fabrycznych, kas oszczędności itd., opisuje autor w tym tomie bursy dla młodych dziewcząt, szkoły gospodarstwa domowego, przemysłowe i biblioteki dla młodych robotników, dalej zakłady gimnastyczne, naukę śpiewu i muzyki. Jest to podręcznik cenny zarówno dla tych, którzy studyują położenie robotników, jak dla fabrykantów, którzy pragnąc polepszyć stosunki swoich, oprzeć się chcą na urządzeniach już wypróbowanych.

O ile książka Posta należy do tych, w których praca naukowa staje się wprost czynem donośnym dla życia praktycznego, o tyle świeżo ogłoszony wykład profesora Brentana „O przyczynach dzisiejszej nędzy socyalnej“ jest wytworem owej zgubnej ekonomii profesorskiej, która powagą naukową uświęca spekulacyę kapitalistów. Wykład ten, wygłoszony przy objęciu katedry ekonomii społecznej w Lipsku, nazwał Brentano „przyczynkiem do morfologii gospodarstwa narodowego.“ Według niego źródła dzisiejszej nędzy ekonomiczno-społecznej sięgają siedemnastego a raczej szesnastego jeszcze stulecia. Wówczas bowiem gospodarstwo europejskie przerastać zaczęło ramy produkcyi miejscowej i miejscowego zbytu, dążąc do stworzenia rynku narodowego i międzynarodowego. Spekulacya zaczęła odgrywać straszliwą swą rolę i powstała owa gorączka gospodarcza, trwająca do dziś a objawiająca się nadmiarem produkcyi i zastojem zbytu, powodującemi straty przedsiębiorców, cierpienia robotników i drożyznę dla publiczności. Jeżeli więc wszystkie dolegliwości ekonomiczne wypłynęły z jednej przyczyny: z nieuregulowanej produkcyi, w takim razie — rozumuje Brentano — jeden tylko jest sposób zaradczy i niezawodny — kartele (umowy). Kartele przedsiębiorców, zawiązane dla systematycznego uregulowania produkcyi pewnych towarów i utrzymywania cen na wysokości oznaczonej przez cła ochronne, zabezpieczają przedsiębiorcom stałe i znaczne dochody. Na to zgoda. Ale drugi wniosek: że umowy takie i robotnikom zabezpieczają nietylko zajęcie każdego czasu, ale wysoką płacę — jest już chyba charakterystycznym przykładem logiki profesorskiej. Że zaś publiczność, którą kartele zmuszają do nabywania towarów po wysokich cenach, cieszyć się niemi będzie dlatego, iż zabezpieczają one zysk fabrykantów i że ci, gdyby zechcieli, mogliby z wysokich zysków podnieść płacę robotników — to nawet prof. Brentano wahał się wypowiedzieć *).

Firma Denckera i Humblota, która wydała wykład Brentana, zebrała też drobniejsze prace ekonomiczne profesora Miaskowskiego p. t. „Agrarpolitische Zeit- und Streitfragen.“ Rozprawki te, acz nie posiadające głębszej wartości naukowej, ułatwiają jednak zapoznanie się ze stosunkami rolnictwa niemieckiego, które coraz bardziej domagać się zaczyna reform na drodze ustawodawczej. Wyjąwszy pierwszą rozprawkę „Socialpolitisches aus den schweizer Alpen,“ traktuje autor poszczególne strony niemieckiego gospodarstwa rolnego, objaśniając naturę obecnego przesilenia i podaje środki zaradcze. Zajmuje się tedy „Położeniem włościaństwa w Prusiech,“ „Obecnem położeniem rolnictwa niemieckiego,“ „Podziałem własności ziemskiej i reformą ustawodawstwa spadkowego w Niemczech,“ „Lichwą wiejską i organizacyą kredytu wiejskiego,“ dalej sprawami stowarzyszeń wiejskich, ceł ochronnych rolnictwa, oraz innemi bieżącemi. Miaskowski pisze fachowo jednak stylem zupełnie przystępnym.

Muza Ryszarda Vossa odznacza się niesłychaną płodnością. Wydaje równocześnie niemal na różnych punktach Niemiec tu dramat, tam komedyę, tu powieść, tam zbiór nowelek. W hałasie zwiastującym nowości, nie spostrzega czytelnik, że ten i ów utwór „modnego“ Vossa przepada. Utalentowany autor, który rozpoczął literacką karyerę w sposób wiele obiecujący, teraz robi, robi, robi — ale jak? Zaczął jako autor zdolny, okazuje się teraz, że jest też mądrym; poznał się na publiczności i miasto dać sobie wyskubywać przez nią wonne kwiaty, rosnące na dnie serca, obskubuje złote pióra tego głupiego ptaka. I kpi do tego, kpi sobie wyraźnie. Opowiada historyjkę z wybrzeża włoskiego. Na przylądku Circe leży mała miejscowość Paolo. Tam dwóch młodych niemców rozbiło namiot: Fryc, szpetny archeolog i Willibald, poeta jakich mało. Przepiękny faworyt wszystkich dziewięciu muz pisze poemat nieśmiertelny, niesłychanie brzydki archeolog zaś wyda wielkie dzieło, w którem dowiedzie, że osławiona czarnoksiężniczka Circe żadną miarą mieszkać nie mogła na tym przylądku włoskim. Zbija wywody jego prześliczna pasterka kóz, która obrała siedlisko swe w romantycznej jaskini nad wybrzeżem. Wspaniała ta niewiasta ma prześliczne imię i prześlicznego wielbiciela o równie pięknem imieniu: nazywa się Maja, wielbiciel jej zaś, który pięknością zdaje się prześcigać jeszcze Willibalda, zowie się Kamillo. No, teraz zawikłanie powstaje mimowoli, samo z siebie: miłość, zazdrość, gniew, sceny. Maja wszystkim zawraca głowy. Willibald kończy poemat swój „Die neue Circe,“ coś w guście nowożytnej Odysei; poeta ten, który obok wekslów na Parnas posiada znaczne zasoby w gotówce, traci pieniądze, co go leczy z namiętności. Brzydki Fryc, również zadurzony w Mai, ale niemający pieniędzy, niszczy swe dzieło, o którego bezpodstawności się przekonał, a szukając lekarstwa przeciwko Mai, przypomina sobie jasnowłosą błękitnooką niemkę, z którąby się ożenić powinien. Odjeżdżają więc obaj przyjaciele, nacierpiawszy się sporo w państwie nowej Circy. Po kilku latach wracają: Fryc poślubił uczciwą swą Minchen, Willibaldowi zaś dostała się bogata i dystyngowana Marya. Jaskinia Mai opuszczona, zarośnięta, kózki jej rozproszone. Odjazd obu niemców nie złamał kamiennego serca włoskiej tej piękności. Znalazła ona sobie bogatego, ziewającego lorda, który ją poślubił; odziana aksamitami i jedwabiami przechadza się nad wybrzeżem z Hamillem, który z czasem rozwinął się na Apollona. Trudno rozpoznać, czy Voss historyę tę opowiada na seryo, czy na żarty; opowiedział ją w każdym razie z humorem, publiczność się bawi, a książka wychodzi właśnie w drugiem wydaniu.

Wśród pisarzów, dobijających się obecnie znaczenia, zasługuje na uwagę Ernest Wechsler. Po kilkoletnim pobycie w Wiedniu przeniósł się do Berlina. Zdolny publicysta i krytyk zrócił na siebie uwagę książką o „autorach wiedeńskich,“ o której przy sposobności pomówimy. Obecnie ogłasza zbiór szkiców wcale oryginalnych i zajmujących p. t. „Duchy w świetle słonecznem.“ Nie są to duchy zmarłych, ani fantasmagorye chorobliwe, lecz psychiczne stany ludzi nowożytnych, pochwycone z talentem. Usposobienia, z których wyradza się niepokój, samotność, smutne wspomnienia, nieczyste sumienie, nerwowość wreszcie — oto motywy, które Wechsler wysnuwa piórem żywem i barwnem, z niemałą zręcznością pomysłów. Są to rzeczy poważnej i wesołej treści, wszystkie niemal oparte na obserwacyi życia i ludzi. Nieźle określił sam autor szkice te w tytule, zowiąc je „Merkwürdige Alltagsgeschichten.“

Ladawa.

ADOLF WEBER TKALCZEVICZ.

(Wspomnienie pośmiertne).

Literatura chorwacka utraciła jednego ze swych najpłodniejszych i najruchliwszych pracowników. Dnia 9 sierpnia umarł w Zagrzebiu Adolf Weber, znany pod imieniem Tkalczewicza (Tkaczewicza), który jako przywódca t. z. „szkoły zagrzebskiej“ wielce się przyczynił do rozwoju języka chorwackiego. Urodził się w 1825 r. w miasteczku Baker (Buccari) na Pomorzu chorwackiem, gdzie ojciec jego Józef, rodem ze Znojma na Morawach, był wówczas urzędnikiem. Podobnie jak u nas Matejko, Smolka, Szajnocha (Wtellensky), był więc Tkalczevicz synem czecha, który umiłował i szczerze pokochał pobratymczy naród i jego kraj, dokąd go zagnał austryacki system biurokratyczny. Do gimnazyum Weber uczęszczał w Rjece (Fiume) i w Zagrzebiu, poczem udał się do Pesztu na teologię, a po jej ukończeniu do Wiednia dla studyów filologii klasycznej i słowiańskiej. Stąd powrócił do Zagrzebia w 1854 r. jako profesor gimnazyalny. Było to za dyrekcyi znanego germanizatora Józefa Premrau, kargerowicza słoweńskiego. Jako znakomity pedagog stał się Tkalczevicz ulubieńcem młodzieży chorwackiej, tem bardziej, że wspólnie z profesorami A. Mazuraniczem i Markowiczem, znanymi narodowcami i pisarzami chorwackimi, przez siedem lat z wielkiem narażeniem się występował przeciwko germanizatorskim działaniom rządu, które się skończyły dopiero z nastaniem konstytucyi w Austryi (w 1860 r.). Wtenczas Premrau został przeniesiony do Styryi, Weber zaś — zawiadowcą, a następnie (w 1864 r.) dyrektorem gimnazyum zagrzebskiego. Ale te lepsze czasy krótko trwały. Z objęciem rządów Chorwacyi przez bana barona Raucha (w 1867 r.) zaczęła się znowu era madziaryzacyi, równie smutna, jak poprzednia germanizacyi. Oczywista, że taki narodowiec, jak Tkalczevicz, nie mógł nadal zostać na stosunkowo niezawisłem stanowisku. Mianowano go więc referentem spraw szkolnych i wyznaniowych przy namiestnictwie chorwackiem. Urząd ten jednak sprawował bardzo krótko, gdyż już z początkiem 1870 r. został kanonikiem kapituły zagrzebskiej, prefektem seminaryum teologicznego w Zagrebiu i regensem konwiktu szlacheckiego. Na tej posadzie został aż do śmierci, poświęcając cały swój wolny czas pracom literackim. Tu jego działalność była bardzo wielostronną. Największy rozgłos zyskały jego obrazy z podróży. Szczególnie popularne stały się znakomite jego opisy jezior Plitwickich (Put na Plitvice, w 1865 r.), pełne życia i werwy, w których pierwszy raz zwrócił uwagę swych ziomków na to jedyne w swoim rodzaju piękności Chorwacyi. Niemniej świetnie i żywo pisane są: „Podróż po Chorwacyi i Sławonii,“ dalej „Listy z Włoch,“ a szczególnie „Wędrówka do Konstantynopola“ (Put u Carigradu). Prócz tego odzna-

*) W jednym z następnych numerów podamy jego wywody szczegółowiej. *Red.*

czył się Weber prawdziwie klasycznymi przekładami z języków starożytnych i nowoczesnych, tudzież jako autor licznych powieści i nowel. Między innemi wydał przez znawców bardzo chwalone tłomaczenie *Irydiona* Krasińskiego i *Konrada Wallenroda* Mickiewicza.

Z niemniejszem powodzeniem, jak w beletrystyce, zajmował się Weber lingwistyką i literaturą chorwacką. Uchodził on za świetnego stylistę i najgruntowniejszego znawcę języka i pierwszy zbadał naukowo i przedstawił metrykę chorwacką w swych pracach „Stihotvorstvo hrvatsko“ (Nauka poezyi ch.), „Najnovije pojavi naszego pjesnictva,“ „O hrvatskim hexametru“ itd. W rocznikach zagrzebskiej Akademii nauk p. t. „Rad“ (Praca) zamieścił wiele cennych rozpraw lingwistycznych: „O języku chorwackim,“ „Składnia języka chorwackiego,“ „Tempora w języku chorwackim.“ Wszystkie dzieła jego wychodzą obecnie w zbiorowem wydaniu w kilkunastu tomach. Oprócz znanych dotąd pism jego znajdują się tam niewydane dotąd jeszcze pamiętniki Tkalczevicza, zawierające wiele ciekawych przyczynków do dziejów Chorwacyi w ostatnich 30 latach. Z powodu ich prywatnego charakteru, wychodzą zebrane „Djela Adolfa Webera,“ stosownie do życzenia autora, tylko w 20 egzemplarzach, które według testamentu mają być rozdane bibliotekom i kilku przyjaciołom zmarłego. Poświęciwszy całe życie piśmiennictwu narodowemu, nie zapomniał o niem i na łożu śmiertelnem; zapisał bowiem 41,000 złr. na cele literatury chorwackiej i na oświatę ludu, czem niemniej jak i całem życiem uwiecznił swe imię w społeczeństwie.

Meg.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Syndykat węglowy. — Skojarzenie dwu skrajnych prądów. — Krótki wykład życzliwości ojcowskiej i jej dobrodziejstw. — Usunięcie anarchii z rynku. — Nasi zwycięzcy na wystawie paryskiej. — Pod osłoną medalów. — Stały sąd przemysłowy. — Ocena prób i ocena działalności ciągłej. — Wyłuskiwanie p. Piltza z *Kuryera codziennego*. — Potrzeba rozwodu. — Lekcya etyki dziennikarskiej p. Kosiakiewicza. — Maciek i sfery inteligencyi. — Kropkowanie w dziennikach i historyi. — Wyjaśnienie p. Gomulickiego.

Wiadomo, że jedną z głównych nut żałosnych naszego czasu jest skarga na „anarchię“ w przemyśle. Jakkolwiek skarga ta wychodzi z ust, przed głosem których zwykły śpiesznie zamykać się uszy wielbicieli najlepszego z możliwych światów, widocznie jednak przeniknęła ona do serca kilku aniołów złotopiórych, kilku dobroczyńców, którzy postanowili przynajmniej w części złemu zaradzić. Mianowicie zamierzają oni utworzyć syndykat, prościej mówiąc—spółkę, która by owładnęła węglem kamiennym i sprzedawała go według jednostajnych, przez siebie oznaczonych cen na wszystkich ważniejszych miejscach zbytu. Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie, że niedawno istniał we Francyi podobny syndykat dla miedzi, a naśladował wzory przedsięwzięć amerykańskich co do srebra i zboża. Dzisiejsza korespondencya „z Niemiec“ przekonywa, że pomysłowi ekonomiści chcą ideę umów albo raczej zmów (kartelów) rozpostrzeć na całą dziedzinę przemysłu. Trzeba tedy przyznać ojcom syndykatu węglowego, że stanęli na wysokości swojego zadania i czasu, że jednocześnie odpowiedzieli dwustronnym jego potrzebom, dogodzili dwu krańcom społecznym—temu, który żąda usunięcia „anarchii“ z rynków ekonomicznych, i temu, który pragnie tego dokonać zapomocą aniołów złotopiórych. Gdyby pomiędzy moimi czytelnikami znaleźli się nierozumiejący przygotowywanego nam dobrodziejstwa, wytłomaczę je krótko. Dziś, kiedy kopalnie węgla pozostają w rozmaitych rękach, odbywa się między niemi współzawodnictwo, niepozwalające żadnej podnieść wysoko cen. Ponieważ zaś taka licytacya producentów *in minus* przed konsumentami ciągle sprowadza różnice, a więc „bezład“ na rynku, więc poczciwi ludziska pragną jedną wspólną wolę i jeden wspólny interes niby duszę osadzić w całem ciele węglowem. Wtedy znikną różnice, współzawodnictwo i „anarchia,“ a jakie ceny ustanowi syndykat, takie będą obowiązywały w całym obrębie zbytu. Będzie to niewątpliwa wygoda dla wszystkich: właściciele kopalń wyciągną zyski pożądane, składnicy przestaną wysilać się na przynęcanie publiczności, ogół nie będzie się tułał od jednego do drugiego, gdyż u wszystkich znajdzie ceny stałe. Przewiduję tu powierzchowny zarzut, że dzięki temu udogodnieniu ceny węgla mogą wzrosnąć do nadzwyczajnej wysokości. Obawa płonna, gdyż zawsze będą one trzymać się niżej wszystkich materyałów palnych: drzewa, słomy, wełny, lnu, nafty, spirytusu itp. Syndykat nie może od nas wymagać, ażebyśmy mu płacili 50 rs. za pud węgla, bo wtedy będziemy palili w piecach chmielem, szafranem, konami jedwabiu itd. On może tylko wyzyskać różnicę ceny targowej między węglem a najtańszym produktem palnym. A różnica ta nie jest wielką — najwyżej — jak sądzę — wynosi 50%. Przestrasza was to? Ach, dobrzy ludzie, czy nie warto do każdego rubla, wydanego na opał, dorzucić 25 lub 50 kop. za korzyść pozbycia się „anarchii“ rynku? Trzeba dorosnąć do cywilizacyi, a cywilizacya jest kosztowną. Poniesmy więc bez szemrania dobrowolną ofiarę i nie złorzeczmy syndykatowi, ale podziękujmy mu za jego ojcowskie zamiary. Bo on nam nietylko zaprowadzi „porządek“ w cenach węgla, ale nadto dobrym przykładem zrodzi potomstwo w innych dziedzinach przemysłu. Wystawmy sobie, jakby to było dobrze, gdyby inne spółki opanowały mąkę, kartofle, mięso — i gdyby jednego pięknego poranku kazano nam za bułkę płacić 10 kopiejek! Wtedy doczekalibyśmy się wreszcie królów węglowych, mięsnych, zbożowych, takich, jak Ameryka. Wtedy dopiero nasze pisma demokratyczne miałyby co opowiadać o świetności balów u bogaczów, o sukniach z piersi kolibrów, o brylantach wielkości jajek gołębich, o... Jakże to urocze marzenie! Spełni się, tylko niech produkty najpierwszych potrzeb ludności dostaną się w ręce syndykatów.

Na wystawie paryskiej ukończono rozdawanie nagród. W oddziale, w którym znajdowali się nasi wystawcy, na 625 powołanych jest aż 602 wybranych. Skąpem więc i wybrednem *jury* nie było. Hojnością tą zasłużyło sobie na głęboką naszą wdzięczność; nietylko bowiem dało nam szczodrą porcyę znaczków i listów pochwalnych, ale do pewnego stopnia zapobiegło nadmiernemu wyzyskiwaniu odznaczeń. Dawniej wszelka na wystawie otrzymana nagroda była przynętą dla publiczności i niejednemu handlarzowi przyniosła duży majątek. Dziś gdy to przynęty rozmnożyły się nadmiernie — spowszedniały. Dowcipny i niezmiernie skuteczny środek przeciwko wyzyskiwaniu medalów i dyplomów wynaleziono na naszych wystawach: otrzymują nagrody wszyscy ich uczestnicy. Dzięki temu pomysłowi, żadna liszka kosztem innych nie przechwala swego ogona w płatnych reklamach i pod sławnym szyldem nie sprzedaje lichoty. Ponieważ zaś próby okazywane na popisach nie świadczą bynajmniej o wartości całej produkcyi wystawy, gdyż może on np. wyrobić kilka butelek doskonałego piwa a dostawszy medal, znaczyć nim później najwstrętniejsze paskudztwa, czyby więc zamiast badań doraźnych i odznaczeń wystawowych nie lepiej odpowiedział zadaniu stały przy każdym zarządzie miejskim lub gminnym ustanowiony sąd przemysłowy, któryby badał ciągłą działalność wytwórców i przyznawał im nagrody lub pochwały za pewne okresy czasu? Komisya taka, nie oceniając tego, co jej fabrykanci przyślą, lecz sama wybierając próby ich produktów, ogłaszałaby np., że w ciągu roku lub lat paru najlepszy chleb wypiekał lub skóry garbował w danej miejscowości p. X. lub Y. Wtedy medale i dyplomy (wyłączam tu stronność i przekupstwo) istotnie byłyby wskazówką dla ogółu i wywierały wpływ na produkcyę kraju. Ale obecne popisy co najwyżej dostarczają dowodów, jaką doskonałość osiąga fabrykacya umiejętna, staranna i sumienna. Czy zaś ona jest taką w pewnem miejscu i czasie, tego jeden złoty medal nie poręcza. Może go bowiem otrzymać rzetelna praca jak i przebiegłe oszustwo. Tylko w dziedzinie wiedzy i sztuki, tylko w sferze — że tak powiem — unikatów sprawiedliwość nie błądzi. Jeżeli Chełmoński za swój obraz dostaje najwyższą nagrodę, to dostaje ją tylko za ten obraz i nie nada nią wartości utworom innym, które będą sądzone oddzielnie; ale jeżeli taką nagrodę zdobędzie fabrykant wódek, to ona nie odnosi się do tych butelek, które wystawił, ale do wszystkich, przez nikogo niezbadanych, które w świat puszcza. I w tem właśnie tkwi szkodliwość konkursów przemysłu.

Gdyby dziś urządzono w Warszawie wystawę skromności, pierwszą nagrodę niewątpliwie otrzymałby p. Piltz. Istnieje w prasie warszawskiej zwyczaj natychmiastowego i uroczystego zawiadamiania narodu o każdym pozyskanym współpracowniku, choćby jedynym tytułem jego chwały była bogata żona, posada na kolei lub uczestnictwo w bibkach. Uszczęśliwione takim nabytkiem pismo nie zaniedbuje nawet ogłaszać o każdym ruchu dostojnego męża w kraju i za granicą. Tymczasem *Kuryer codzienny*, sprowadziwszy sobie p. Piltza i powierzywszy mu się całkowicie, zamilczał o nim zupełnie, pomimo że poślubił go w chwili największego jego rozgłosu. Zaczepiany o ten związek kilkakrotnie — nie odpowiadał. Nareszcie w zeszłym tygodniu *Wiek* wystosował do wydawców *Kuryera* formalne wezwanie, ażeby się przyznali lub wyparli p. Piltza. I tym razem wymownem milczeniem dano do zrozumienia, że głowy widome chcą dla niewidomej pozostać zasłoną. Nadto redakcya *Kuryera* zamieściła wykaz dokonanych ulepszeń „po miesiącu,“ w którym wyliczyła najdrobniejsze szczegóły, bo nawet zmianę czcionek, tylko ani słowa nie wspomniała o p. Piltzu. Zdaje się, jak gdyby szeptała: jeżeli chcecie, wypowiem wam cały słownik nieprzyzwoitości, tylko tego jednego nazwiska nie wymówię. Zaintrygowany tą maskaradą i tym oporem jeden z naszych czytelników, żąda od nas rozwiązania zagadki: dlaczego p. Piltz się kryje i dlaczego *Wiek* domaga się, ażeby go ukazano? Na pytania te dostatecznej odpowiedzi dać nie mogę, chyba taką ogólną: prawdziwa cnota jest zawsze wstydliwą, a ludzie zawsze ciekawi ją oglądać. Ponieważ zaś ta wstydliwość i ta ciekawość będą się ciągle wzajemnie drażnić, więc życzę firmie księgarskiej, która zasłużyła sobie na szacunek i nie potrzebowała dotąd taić swoich stosunków, ażeby wzięła rozwód z małżonkiem, do którego przyznać się nie może. Mam nawet jakieś przeczucie, że on sam po dobrym namyśle zgodzi się na rozcięcie związku morganatycznego, w którym ani sam być szczęśliwym, ani drugiej strony uszczęśliwić nie może. W prasie jeszcze bardziej, niż w życiu, małżeństwa muszą być jawne.

P. W. Kosiakiewicz, który dość szybko zaawansował na ławnika prasy, dał nam

w *Gazecie polskiej* piękną lekcyę etyki dziennikarskiej na temat: czy w sprawozdaniach z procesów sądowych należy podawać imiona i nazwiska przestępców „ze sfer inteligencyi,“ czy też oznaczać je „kropkami.“ Autor rozumuje tak: „Dla Bartka lub Maćka zupełnie jest *obojętnem*, czy będzie figurował w piśmie lub nie; również *obojętnem* jest dla jego rodziny, kmotrów i sąsiadów... Znając stosunki wiejskie, wiemy, że Maciek, odsiedziawszy za kradzież swoje parę miesięcy więzienia, wróci do wsi *taki sam*, jaki był, tylko nieco obyty i w towarzystwie dobrych złodziei przetarty... Ale zupełnie inaczej przedstawia się ta sama kwestya dla osób ze sfer inteligencyi. Tu gazety są prenumerowane i czytane... Ludzie czytają, mówią, sądzą i przy pomocy drukowanego słowa tworzą to, co się nazywa opinią.“ Ponieważ na ujawnianiu nazwisk, oprócz samych przestępców, cierpią zwykle ich rodziny, przeto należy je osłonić... kropkami.

Zapewne i w *Gazecie polskiej* znajdą się ludzie, którzy p. Kosiakiewicza objaśnią, że ze swoją socyologią spóźnił się nieco na targ warszawski. My już bowiem dość powszechnie nie uważamy Maćka za bydlę, „obojętne“ na cudzą lub swoją zbrodnię i nieraz widzimy, jak ten Maciek zdradza w sądzie swą wrażliwość moralną wybuchami najgłębszej rozpaczy, a nawet samobójstwem broni się przed hańbą. Nadto ten Maciek już czyta swoje pisma peryodyczne, gdzie postawiony pod pręgierzem nie spotka się z „obojętnością“ swych kmotrów i sąsiadów. Więc możeby dla konsekwencyi tak urządzić: w gazetach ludowych kropkować Maćków, a obnażać panów, w wydawnictwach zaś dla „inteligencyi“ kropkować panów, a obnażać Maćków? A teraz przedstawmy sobie metodę kropkowania, zastosowaną praktycznie. Bismark zastrzelił Richtera. Ponieważ należą do „inteligencyi,“ więc przychodzi do Warszawy telegram: „Wczoraj w Berlinie B... zastrzelił R...“ Wspaniała nowina! Ale może względem niemców nie potrzebujemy zachowywać zkrupulów? Więc Pług zabił Keniga. Dzienniki donoszą: „Wielką sensacyę wywołał w naszem mieście dziwny wypadek: p. P. zabił p. K. — obaj ze sfery inteligencyi.“ Poczuj że tu „sensacyę“ wobec takiej wiadomości! Jeżeli wielu wypadkom odejmiemy nazwiska uczestniczących w nich osób — pozostanie zwykły piasek lub muł bez znaczenia. Właśnie skutkiem bezimienności bohaterów kryminału „ze sfery inteligencyi“ i pozbawienia ogółu możności „tworzenia opinii,“ wszelkiego rodzaju przestępcy odzyskują stracony kredyt moralny i wyzyskują go dalej. Na ujawnianiu ich nazwisk cierpią rodziny — prawda. Ale od kogo cierpią? Jak się nazywają ci, którzy za winy ojca czynią odpowiedzialnym syna lub córkę? Głupcy — a na sądach głupców niepodobna opierać reguł moralnych. Zresztą czemuż nie pójść dalej i nie zrobić wyrzutu dziejopisom, że łotrów historycznych nie oznaczyli kropkami? Bo wszakże z tą samą słusznością mógłby dziś jakiś papa odpowiedzieć Radziejowskiemu: nie mogę dać panu za żonę mojej córki, bo pański przodek naprowadził szwedów. A jak też myśli p. Kosiakiewicz: czy Radziejowski powinien roześmiać się, czy też westchnąć: czemu to nie napisali, że szwedów sprowadził R...!

Od p. W. Gomulickiego odbieram list następujący:

„Niesłusznie *Poseł Prawdy* potępił rysunki kolorowane *Tygodnika powszechnego*, jeszcze przed ich zobaczeniem. Numer *Tygodnika*, który przy liście tym posyłam, przekona go może, że obawy jego były płonne. *Tygodnik powszechny* niema bynajmniej zamiaru podawać rycin, na których „twarz figury jest niebieska, jeden rękaw ubrania fioletowy, drugi żółty, a poły zielone.“ Zamieszczać on tylko będzie kolorowe odbicia rysunków piórkowych, kredowych i tuszowych, co praktykują od dawna pierwszorzędne wydawnictwa artystyczne za granicą, i częściowo *Świat* krakowski. Jeżeli ten argument *Posłowi Prawdy* nie wystarcza, mam w zapasie inne. Panująca dziś moda rysunków kolorowych nie jest zgoła pomysłem nowym. Wznawia ona wykwint artystyczny XVIII wieku, który w sferze obrazkowej stwarzał dzieła niezrównanie piękne. Tak zwane „sangwiny“ (rysunki wykonane kredą czerwoną), ryciny *en camaïeu* (w dwóch kolorach, kładzionych płaszczyznami, bez półtonów), szkice *à deux crayons*, *à trois crayons* itd. były wówczas w powszechnem użyciu i cieszyły się (a cieszą się i dotąd) u znawców wielkiem powodzeniem. Żadnego z tych sposobów estetyka nie nazwała dotąd nieprawem dziecięciem malarstwa, ani też tembardziej „głupstwem w sztuce.“ Mogę zresztą w tym razie oprzeć się na większych, niż artyści zeszłowieczni, powagach. Jeżeli *Poseł Prawdy* widział bogate galerye artystyczne Paryża, Wiednia i głównych miast włoskich, oglądał w nich może zbiory oryginalnych rysunków wielkich starych mistrzów. Jeżeli rysunki te oglądał, to zapamiętać musiał, że znaczna ich część kreślona jest bistrem, karminem, *vermillonem*, błękitem itp. Urozmaica to wrażenia optyczne, na których się poczucie piękności malarskich opiera, zasadniczych zaś podstaw estetyki w niczem nie narusza. Rysunki czarne i kolorowe w różnym zupełnie stopniu *nie* odtwarzają wiernie rzeczywistości, zarówno bowiem niema w naturze niebieskich twarzy, jak czarnych drzew i białego nieba. Tyle w obronie *Tygodnika powszechnego*, a raczej, co ważniejsza, artystycznego smaku jego kierownika.“

Sprostowaniem mojego domysłu zrobił mi p. Gomulicki rzeczywistą przyjemność. Czytając w pismach o zamiarze uczynienia z *Tygodnika powszechnego* ilustracyi taniej i kolorowanej, wziąłem tę wiadomość w takiem znaczeniu, jakie ona zwykle posiada w wydawnictwach tanich i kolorowanych u nas i zagranicą. Wszakże mamy w Warszawie ilustracye barwione tego rodzaju, o którym pisałem a który jest okropnością potworną. Że ich nie pomnoży *Tygodnik*—cieszę się pierwszy przedewszystkiem dlatego, że mojej literaturze życzę nabytków wartościowych a nie tandety.

Nie potrzebuję zapewniać p. Gomulickiego, że owe rysunki barwione w galeryach zagranicznych widziałem i cenię umiem. Ale o co innego mi chodziło...

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Konkurs. Stypendyum imienia Śniadeckich z fundacyi Seweryna Gałęzowskiego w kwocie 5,000 fr. rocznie ma być otwarte od 1 listopada r. b. Ubiegać się mogą asystenci lub docenci obu uniwersytetów galicyjskich lub jednego z zagranicznych (ci ostatni z warunkiem dostatecznej do wykładu biegłości w języku polskim). Stypendyum to na rok 1889|90 pryznane być może tylko kandydatom poświęcającym się naukom przyrodniczym. Do podań, które najdalej pod koniec października r. b. wnosić należy do Akademii umiejętności w Krakowie, dołączyć trzeba: 1) dowód, że kandydat jest asystentem lub docentem, jak dawno, jakiego przedmiotu, ilu miewał słuchaczów; 2) prace naukowe bądź drukowane, bądź w rękopisach; 3) program studyów, które w ciągu roku przedsiębrać zamierza. Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany zdać sprawę z prac naukowych, któremi zajmował się w tym czasie i sumienność swoją udowodnić. Sumę przyznaną stypendysta odbierać będzie w ratach półrocznych z góry.

Wystawy. Na wystawie paryskiej rozdano uroczyście nagrody. Otrzymało je 33,139 uczestników, których ogółem było przeszło 60,000. Wielkich nagród przyznano 903, medali złotych 5,153, srebrnych 9,690, bronzowych 9,323 i dyplomów honorowych 8,070.

— Opłatę za przewóz członków międzynarodowej wystawy więziennej w Petersburgu i przedmiotów jej dotyczących, koleje żelazne zniżają o 50%.

— Z d. 19 b. m. otwartą będzie w Petersburgu wystawa pszczelnicza.

— Wystawę rolniczą otwarto w Kiszyniewie.

— W zimie petersburskie Towarzystwo ogrodnicze urządzi wystawę kaktusów.

— **Stowarzyszenie** do wyzyskiwania bogactw kopalnianych w Azyi Mniejszej i środkowej zawiązuje się w Petersburgu.

Posiadłość ziemska. Dzienniki ruskie donoszą, iż w prowincyach południowo-zachodnich liczni właściciele ziemscy sprzedają posiadłości. Są to przeważnie osoby, które przybyły z gubernij środkowych i na warunkach ulg pokupowały majątki.

„Pirofob.“ Wkrótce odbędą się w Petersburgu doświadczenia z nowowynalezionym płynem, „pirofobem,“ zabezpieczającym od ognia przedmioty z drzewa, słomy, płótna itd.

Z prasy. Minister spraw wewnętrznych cofnął zakaz sprzedaży pojedynczych numerów pisma *Tieatr i żizń*, polecił zaś zawiesić *Rusk. kurier* na sześć miesięcy.

— W Moskwie powstaje dziennik polityczno-literacki p. t. *Przegląd ruski.*

Fabryka wyrobów bronzowych otwartą została w Warszawie, przy ul. Żelaznej, zaopatrzona w motor gazowy.

Koleje. Dwóch dygnitarzy kijowskich czyni starania o pozwolenie na budowę kolei, mającej w prostym kierunku przez Połtawę połączyć Kijów ze stacyą Łozową. Zbudowaną byłaby kosztem rolników i przedsiębiorców bez zapomogi i ubezpieczenia ze strony rządu.

Zjazd przyrodników i lekarzy w Petersburgu trwać będzie od 9 do 19 stycznia r. p. włącznie.

Powinność wojskowa. Za porozumieniem się ministrów wojny i oświecenia studenci wyższych zakładów naukowych uwolnieni zostają od stawania do ćwiczeń wojskowych przez cały czas uczęszczania do wspomnianych zakładów, z tem zastrzeżeniem, iż po opuszczeniu szkoły obowiązani będą do odbycia ćwiczeń tyleż razy, ile ich rowieśnicy w terminach służby, chyba że przez służbę samą nabędą prawa do uwolnienia od nich. Rozporządzenie to stosuje się do młodzieży uczęszczającej do uniwersytetów, instytutów filologicznych, moskiewskiej szkoły technicznej, liceum Demidowskiego, instytutu Łazarewskiego, liceum Cesarzewicza Mikołaja, instytutów weterynaryjnych i technologicznych, instytutu gospodarstwa wiejskiego w Nowej Aleksandryi (Puławach) i instytutu politechnicznego w Rydze.

Rząd angielski ma zamiar wykupić na własność wszystkie kanały w Wielkiej Brytanii.

Fanatyzm religijny. Trzydziestu sześciu ogrodników w Londynie skazano na grzywny za to, że wyjmowali cebulki i kopali kartofle w niedzielę z obawy przymrozku w poniedziałek, któryby zniszczył rezultaty całorocznej ich pracy.

Bibliografia. F. Weidel, *Bank włościański*, przepisy, objaśnienia i wzory, zeszyt 1. Warszawa, str. 31.

— H. Nussbaum, *Historya żydów*. tom IV, Warszawa, str. 334.

F. Kucharzewski, *Opoczątkach piśmiennictwa technicznego w Polsce*, Warszawa, str. 40.

— Isokrates, *Enagoras i Nikokles*, tłom. J. Wabner, Kielce, str. 41.

— E. Majewski, *Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich* (polsko-łaciński), tom I, zeszyt 1, Warszawa.

Prawo francuskie najnowsze uwalnia od opłaty podatku osobistego ruchomościowego rodziny, posiadające siedmioro dzieci żyjących, bez względu na ich wiek, obecność przy rodzicach, zdrowie itd. Rodzin takich jest we Francyi 232,000.

Chmielarze wołyńscy proszą ministeryum dóbr państwa o założenie w miasteczku Wierzble, pow. dubieńskiego, kantoru pośredniczącego dla handlu oraz innych operacyj chmielarskich. Przy kantorze znajdować się będą obszerne składy i wzorowe suszarnie chmielu.

Węgiel kamienny. W dwóch miejscach pow. będzińskiego odkryto pokłady węgla kamiennego na gruntach włościańskich.

Żydzi. W przepisach dotyczących żydów, obcych poddanych, w Rosyi zamieszkałych, mają być dokonane zmiany częściowe, według których żydzi tej kategoryi w trzech wypadkach będą mogli przemieszkiwać w państwie, mianowicie: jeżeli już mieszkali lat 40, jeżeli są w państwie urodzeni i od pewnego czasu stale osiedleni i jeżeli mają ulokowane w przemyśle i handlu znaczniejsze kapitały.

Handel. Ogłoszono ustawę Towarzystwa dla handlu z Persyą i budowania tamże zakładów fabrycznych i przemysłowych. Kapitał zakładowy, wynoszący 400,000, podzielony jest na 400 akcyj. Zarząd Towarzystwa mieści się w Moskwie.

Serwituty. Sprawę zniesienia służebności pastwiskowych roztrząsano w ministeryum spraw wewnętrznych. Zwrócono uwagę na projekt przyspieszenia umów dobrowolnych. (*Now. Wr.*).

Korespondencya bezpłatna, przysługująca dotąd instytucyom rządowym, ma być całkowicie zniesio-

na. Natomiast wprowadzona będzie korespondencya „uprzywilejowana“ za opłatą po kopiejce od każdych dwóch łutów.

Sprawy finansowe. Minister skarbu postanowił zapasy kruszcowe skarbu i Banku państwa trzymać nie jak dotąd — w gotowiźnie, żadnego procentu nie przynoszącej, lecz w wekslach brzmiących na walutę złotą, jak to czyni austryacki Bank narodowy. Korzyści z tej zmiany obliczone są na kilka milionów rubli rocznie.

W Baku otwarty będzie wkrótce oddział Tow. popierania przemysłu i handlu. Zapisało się dotąd 39 członków, przeważnie inżenierów górniczych.

Rolnictwo. Ministeryum dóbr państa pozwoliło Towarzystwu rolniczemu w Kijowie zwołać zjazd właścicieli ziemskich dla uradzenia, jak zmniejszyć koszty produkcyi płodów rolnych.

Owczarnie zarodowe. Ministeryum dóbr państwa postanowiło zakładać w różnych punktach owczarnie zarodowe w celu podniesienia tej gałęzi gospodarstwa wiejskiego. Będą one dozorowane przez ludzi fachowych. W przyszłości istnieje nadto projekt urządzenia przy owczarniach szkół specyalnych dla kształcenia t. zw. sorterów.

Ubezpieczenia. W ministeryum spraw wewnętrznych ustanowiono komisyę, która ma się zająć dokładnem zbadaniem organizacyi ubezpieczeń budowli oraz majątków miejskich na prowincyi.

Fałszywe banknoty. Bank państwa skonfiskował już dotąd 10,000 sztuk fałszywych asygnat 25-rublowych. Są one podrobione nadzwyczaj zręcznie i odróżnić je można tylko po nieco odmiennym kolorze i drobnych plamkach.

Szkoły. Ministeryum dóbr państwa od roku przyszłego zamierza powiększyć liczbę miejsc dla słuchaczów w szkołach rolniczych.

— Studenci instytutu weterynaryjnego w Warszawie, korzystający ze stypendyów, w razie wstąpienia do służby rządowej mają otrzymywać po rs; 100 na umundurowanie i zaopatrzeni będą w najważniejsze instrumenty. W r. b. na stypendya tych studentów według nowego etatu wyznaczono 720 rs.

— Nauczyciele gimnastyki mają składać władzy szkolnej sprawozdania roczne, w których powinni wymienić rodzaje zabaw gimnastycznych, odbywanych w ciągu roku i ile ćwiczeń dokonano w sali, a ile na wolnem powietrzu, tudzież podać wiadomości o liczbie zwolnionych od gimnastyki, z wyszczególnieniem przyczyn.

W departamencie kryminalnym kasacyjnym Senatu na d. 5 października naznaczoną jest z udziałem przedstawicieli stanowych sprawa b. prezesa sądu okręgowego tulskiego r. st. Kołokołowa i komisarza sądowego tegoż sądu, Prusakowa, oskarżonych o oszustwa, roztrwonienia i nadużycia w urzędowaniu.

Katastrofy. W d. 1 b. m. pod Sztutgardem zaszedł nieszczęśliwy wypadek kolejowy. Siedem osób zginęło, 50 ranionych.

— W nocy z 29 na 30 z. m. w tunelu między Aviano i Gianevettolo zetknęły się dwa pociągi osobowe, z których jeden szedł do Neapolu, drugi do Foggii. Wiele osób zginęło lub otrzymało silne pokaleczenia.

— W Łowiczu podczas pożaru młyna spaliło się na węgiel czterech robotników.

Zmarli. Eliza Cook w Anglii, poetka wielce popularna przed 40 laty śród swego narodu.

— Bourbouze w Paryżu, znakomity praktyk w zakresie fizyki, elektrotechniki i metalurgii. Wynalazł sposób otrzymywania aluminium i lutowania niem. Był samoukiem i bez dyplomów doszedł do katedry robót praktycznych na wydziale farmacyi.

— Gen. Faideherb, jedyny szczęśliwy dowódca w wojnie francusko-niemieckiej.

Ogłoszenia.

Wydawnictwa „Prawdy.“

Spółka Nakładowa

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Сентября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.